WOŁODY SKIBA.

NA WĘDKĘ.

Fotografja bez retuszu.

LWÓW
NAKŁAD WYDAWNICTWA MRÓWKI.
Czcionkami drukarni Dra. H. Jasieńskiego.
1869.

Panu Stanisławowi [illegible]
ofiaruje
Autor
[illegible]

Kraków 27/X 1870.

NA WĘDKĘ.

WOŁODY SKIBA.

NA WĘDKĘ.

FOTOGRAFJA BEZ RETUSZU.

LWÓW.
Nakładem Wydawnictwa Mrówki.
Czcionkami „Dz. lw.“ Dra H. Jasieńskiego.
1869.

I.

Zaprawdę niktby naszego bohatera nie nazwał Antynousem. Był to człowiek mogący mieć około lat czterdziestu, wzrostu wysokiego, wyniosłego nieledwie, zbudowany massyw, szerokości w plecach niemałej, ruchów zastosowanych do całej postaci, zbyt ciężkiej i niezgrabnej, ażeby nawet przy najszczerszej chęci cokolwiek elegancką i przyjemną okazać się mogła.

Fizjognomja była jedną z tych typowych, o których na pierwsze zaraz ujrzenie niepodobna nie powiedzieć, że są moskiewskie. Nos przypłaszczony, szeroki w osadzie, a od dołu dosyć zadarto obciosany, niskie czoło, bardzo wydatne wargi, których grubości nawet dość bujne wąsy utaić lub zmodyfikować nie mogły, małe, siwe oczki, ciemna, brudno - miedzianego koloru cera, włosy przystrzyżone podług *kazionnej* miary, otóż i wszystko prawie, jeśli dodamy do tego policzki, na których, pomimo że im mięsistości nie brakło sterczały po obu stronach nosa, na połowie jego odległości od uszu niemałego rozmiaru, dwie wielkie wypukłości kościste.

Rzeźbiarzowi byłoby bardzo łatwo uplastycznić jego postać w posągu. Marmuru karraryjskiego mógłby sobie oszczędzić, zastępując go odpowiednich rozmiarów

klocem drzewa, dłuta mógłby nie tępić, bo kilkanaście cięć siekiery wykonałoby czego trzeba. Sztuka nie potrzebuje zadawać sobie więcej kłopotu z odtwarzaniem takich postaci, niż go sobie zadała natura przy ich tworzeniu.

Jeżeli natura nie bardzo się siliła nad wykończeniem jego rysów, to i rodzice nie bardzo sobie łamali głowę nad obmyśleniem mu imienia. Nazwali go Iwanem, tak jak się nazywał jego ojciec i ojciec ojca, którzy z pokolenia w pokolenie byli Iwany Iwanowicze, jak daleko tradycje rodu Chwostowów sięgały, tradycje te bowiem niosły, że protoplasta tego rodu, żyjący jeszcze za czasów Borysa Godunowa pra-pra-pra-pra......Chwost, był także Iwanem Iwanowiczem, miał jakieś bliskie stosunki z Bitiagowskim i Kaczałowem, którzy zabili carewicza Dymitra, i przez to imię swoje w dziejach upamiętnił.

Potomkowie tego pra-pra-pra-Chwosta już się nie nazywali Chwostami, lecz Chwostowami, chociaż i nadal przechowali tradycyjne imiona chrzestne, ale do zabijania carewiczów nie mieszali się więcej, więc też głucho o nich było w historji.

Dopiero nasz ostatni Iwan Iwanowicz Chwostow miał swoje imię upamiętnić, jeśli nie w dziejach politycznych, to w historji obyczaju moskiewskiego wynalazku nowej metody zamieniania ludzi w powolne i posłuszne niewolnicze narzędzia.

Ale nie uprzedzajmy wypadków i nim to odkrycie Iwana Iwanowicza Chwostowa opowiemy, opowiedzmy jak do niego przyszło. Wielkie bowiem odkrycia nie przychodzą na świat gotowe, jak Minerwa z głowy

Jowisza, potrzeba jest matką wynalazków i ten więc wynalazek ona spowodować musiała.

Urodzony w wołogodzkiej gubernji, gdzie jego ojciec posiadał kilkuset duszową majętność, Iwan Iwanowicz rozpoczął swoją karjerę od służby wojskowej. Była właśnie kampanja węgierska kiedy wstępował do wojska, posłano go więc do Węgier i tam został oficerem, w wojnie krymskiej awansował na kapitana, a w powstaniu polskiem 1863 r., przeciw któremu walczył będąc majorem, omal nie awansował wyżej jak pragnął. Któryś z mnóstwa dowódców partyzanckich oddziałów w jakiejś drobnej potyczce przypadkowo stał się panem jego osoby, a że to było właśnie w kilka dni po ogłoszeniu przez rząd powstańczy prawa odwetu, za dobijania rannych i egzekucje jeńców jakich się dopuszczali massowo moskale, więc dla przykładu i postrachu postanowił go powiesić.

Nagły tylko alarm nie pozwolił wykonać tego postanowienia. Nie wielki oddział partyzancki pierzchnąć musiał przed nadchodzącą dziesięć razy liczniejszą siłą i to ocaliło majora Iwana Iwanowicza.

Nadchodzące wojska białego cara znalazły go na skraju lasu, omdlałego, z grubym postronkiem w węzeł zawiązanym około szyi, leżącego na ziemi. Koniec postronka przerzuconym był przez jeden z konarów dęba. Wszystko świadczyło, że gdyby pomoc niespodziewana pięć minut jeszcze nie przybyła major Chwostow znalazłby się tak wywyższonym, że już nogami ziemi nie byłby dosięgał.

Zaledwie dotrzeźwiwszy omdlałego odstawiono go co prędzej do powiatowego miasteczka, z powiatowego do gubernjalnego, a z gubernjalnego do Warszawy.

W Warszawie major Chwostów stawić się musiał w sztabie głównym, przybrany w mundur uroczysty. Mnóstwo jenerałów pełnych i niepełnych podchodziło doń po kolei i winszowało mu jego męztwa, aż wreszcie jeden najpełniejszy ze wszystskich zbliżył się doń i odczytał następujący reskrypt głównodowodzącego wojskami, które w ciągu półtora roku zdołały wreszcie dotrzymać słowa, że powstanie polskie zgniotą w dziesięć dni:

„Major Iwan Iwanowicz Chwostow za odznaczenie się nadzwyczajnem męztwem w krwawej potyczce pod Białodębami, w której wzięty w niewolę przez buntowników zimną krwią i odwagą swoją wyrwawszy się im i przeszedłszy na stronę naszą dokazywał cudów waleczności i głównie przyczynił się do zwycięztwa, przyczem buntownicy pozostawili na placu boju 188 poległych i unieśli z sobą najmniej trzy razy tyle rannych, my zaś mieliśmy tylko jednego żołnierza skaleczonego w mały palec lewej ręki. otrzymuje order św. Jerzego klasy III. i zostaje awansowanym na podpułkownika.“

Iwan Iwanowicz słuchając omal się nie przeżegnał i nie zawołał *Hospodi pomiłuj!* Wiedział on jak najlepiej że pod Białodębami nie było żadnej bitwy, nikt nie zginął, żaden żołnierz w lewy palec skaleczonym nie został; miał tyle rozsądku że rozumiał iż oddział, który go chciał wywyższyć licząc ledwie 40 ludzi nie mógł stracić 188 zabitych i trzy razy tylu rannych, zdumiał się więc nad talentem z jakim jego katastrofa i odbicie w zwycięztwo takie walne przemienionemi zostały. Zbyt przecież chlubne spotykały go nagrody za męztwo o którem dowiadywał się dopiero, i zbyt

dobrze znał subordynacją wojenną ażeby miał protestować przeciw opisowi wypadku, na którym wychodził tak świetnie.

Radość jego jednakże nie była nie zachmurzoną dnia tego.

Wkrótce po odczytaniu reskryptu inny jenerał, także bardzo pełny, zbliżył się do podpułkownika Chwostowa, trącił go lekko w majorskie jeszcze szlify i poprosił z sobą na stronę.

Podpułkownik Chwostów wyprężył się jak struna, po sołdacku, poszedł, z jakiemś smutnem w sercu przeczuciem.

Gdy się znaleźli sami jenerał odezwał się w te słowa:

— Winszuję wam awansu, panie podpułkowniku.

— Najpokorniej dziękuję, *wasze prewoschoditielstwo*, — odrzekł z uszanowaniem Iwan Iwanowicz.

— Sądzę jednak, — mówił dalej jenerał, — że mógłbyś pan odrazu awansować na pułkownika.

— Jakim sposobem, *wasze prewoschoditielstwo?*

— Podając się do dymisji.

Wiadomo, że przy dymisji w moskiewskiem wojsku udziela się wyższy stopień.

Iwan Iwanowicz oczy wytrzeszczył.

— Ja chciałbym służyć carowi i *hosudarstwu, wasze prewoschoditielstwo,* — szepnął.

Jenerał się nachmurzył, widząc że go podwładny nie umie czy nie chce zrozumieć.

— Pan możesz służyć w służbie cywilnej, w wydziale naukowym, — odrzekł sucho.

— Ja nieuczony, panie jenerale, — z przerażeniem odpowiedział Chwostow.

— Jaż o tem pierwszy wiem, — odparł jeszcze niechętniej zwierzchnik, — ale pan żołnierz — jak panu każą być uczonym, to będziesz.

— Będę, wasze prewoschoditielstwo... jednakże wołałbym...

Jenerał tupnął nogą.

— Chcesz pan koniecznie, — zawołał z uniesieniem, to panu powiem dla czego to niepodobne. Pan zbezcześciłeś naszą armją...

— Ja ?! — zawołał Iwan Iwanowicz zdumiony.

— Dałeś się wziąść do niewoli kilkunastu prawie nieuzbrojonym chłopom, dałeś sobie stryczek włożyć na szyję... zemdlałeś gdy ci go włożono... no? teraz rozumiesz pan?... chcesz zostać zaraz pułkownikiem?...

— *Słuszajus... wasze prewoschoditielstwo*, — drżącym głosem przystał na wszystko nieszczęśliwy podpułkownik.

— A więc... tu prośba o odstawkę... podpisz pan.

Chwostow ujął pióro i podpisał.

W kilkanaście dni potem doręczono mu ekspedycją oznajmujacą że otrzymuje dymisją w stopniu pułkownika z mundurem.

II.

Od tego czasu Iwan Iwanowicz jeszcze serdeczniej znienawidził Polaków, i nie dziwimy się temu, miał bowiem ważną przyczynę. Być pułkownikiem w wojsku moskiewskiem jest to być na drodze do porządnej fortuny, na wydatkach pułku zawsze tyle można *oszczędzić*, że już nie trzeba drżeć o starość. Ranga pułkownika była jedynem jego życia marzeniem, dla niej służył, do niej wzdychał, jej się spodziewał, śnił o niej. Tymczasem został pułkownikiem, lecz pułkownikiem *in partibus*, — pułk, ową dojną krowę co miała go zbogacić, przeklęci miatieżniki zawiesili na postronku na dębie, tak wysoko, że o dostaniu się do niego nie mógł już nawet marzyć Iwan Iwanowicz. Licząc na to, że kiedyś w randze pułkownika powetuje swe straty, Chwostow żył hucznie i porządnie nadszarpał swoją fortunę, tym więc bardziej musiał żałować swoich zawiedzionych nadziei.

Nie było teraz innego sposobu dla niego tylko szukać nowej karjery na drodze wskazanej przez zwierzchnika. Powstanie zbliżało się do końca, można było przewidywać, że po gospodarstwie wojskowem w pokonanym orężem kraju administracja cywilna moskiewska zacznie przewracać wszystko do góry nogami

i obławiać się na zwyciężonych. Rada pełnego jenerała była jak się pokazywało niezłą. Iwan Iwanowicz postanowił wstąpić w służbę cywilną, *po uczonomu wiedomstwu.*

Żeby prędzej i lepsze otrzymać miejsce postanowił użyć wszystkich środków protekcji do jakich mu jego stosunki i stopień pułkownika uciec się pozwalały.

Pojechał sam do Petersburga, nie oszczędzał pieniędzy jakie mu pozostały na datki, łapówki i podarki, żadnej faworyty ministra nie pominął, nawet psom wysokich prewoschoditielstw kłaniał się nisko.

Zabiegi te długo nie odniosły skutku, nie dla tego, żeby miano zbyt niskie wyobrażenie o zdolnościach Iwana Iwanowicza, rząd moskiewski na zdolności nie zważa, ale dla tego, że Iwan Iwanowicz miał wysokie wyobrażenie o zdolnościach swoich i nie myślał przestawać na lada posadzie.

Nareszcie po niemałych trudach, dopiął tego, że mu ofiarowano miejsce, które mu się wydało odpowiedniem, to jest takie na którem mógłby nie żałować, że nie miał pułku.

Zawiązywano komitet urządzający dla Kongresówki i dano mu w nim posadę. Nie była to żadna z posad naczelnych, lecz czyż może być miejsce nie dość korzystne, w instytucji mającej nieograniczenie rządzić w kraju podbitym i wyznaczać sobie pensje oraz tak zwane po moskiewsku *okłady* według własnego upodobania.

Pułkownik Chwostow przyjął i powrócił do Warszawy sowitą sumą pod tytułem kosztów podróży zaopatrzony na drogę.

Z rozdziału czynności komitetu bohaterowi naszemu powierzano po kolei rozmaite jedne mniej drugie więcej zyskowne.

Jemu oddane zostało do zreformowania przemianowanie miast polskich według fantazji na krój moskiewski, jego też tylko próżniactwu i niezbyt lotnej wyobraźni zawdzięczamy, że te zmiany nie są radykalne i powszechne.

Nasz Iwan Iwanowicz zabrał się do tej pracy z wielkim zapałem, w ciągu jednego dnia wymyślił żeby Piotrków nazwać Petrekowem, Jędrzejów Andrejowem, Włocławek Włocławskiem, na drugi dzień Siedlce Siedlec, i Częstochowę przemienił w Częstochow trzeci dzień cały stracił na rozpamiętywaniu coby zrobić z Będzina, i zrobił Bendin, potem już praca szła leniwo, ledwie po dwa lub trzy na tydzień rodziły się nowe nazwiska: *Grodisk*, *Minsk*, *Radziejew*, *Chołm*, *Zamostje* i t. p. aż nareszcie gdy przyszedł termin dania referatu do przepisania na czysto i przedstawienia do podpisu pokazało się że tylko pewna cząstka miast na nowo została ochrzczoną.

Zrazu wprawiło go to w kłopot niemały, ale wkrótce sobie poradził.

Napisał w końcu przedstawienia, że wszystkie inne miasta i wsie noszą nazwiska *korenno - russkije* i że ich przemieniać nie trzeba.

Piscy przepisując kręcili głowami i szeptali pomiędzy sobą:

— Pułkownik Chwostow łagodny człowiek... a to on setnej części nazwisk nie poprzemieniał.

— Czy on nie *polakujący* czasem?

— Słowo daję *polakujący*... gdzież podobna?... nawet Warszawy tym miateżnikom nie przezwał...

— A jakbyś ty przezwał Warszawę?... toż nie tak łatwo.

— Jak nie łatwo?... jaby nazwał Moskowka.

— Gdzież słyszano święte imię matuszki białokamiennej dawać buntowniczemu miastu?...

— Nu, tak Peterburok.

— Co tobie bracie w głowie?... nie pijany ty albo co?... toż Piter *stoliczny* gród!... gdzież nieteżnikóm....

— Nu, tak Kijewok.

— W Kijowie to Peczarska Ławra jest, a tu u buntowczyków co?...

— Nu, tak... już nie wiem jak.

— A widzisz, że to niełatwo nazwać Warszawę i pułkownik Chwostow nie dla formy ma głowę... nie darmo on pułkownik.

— Tak czemuż on choć Częstochowy *Czastochowem* nie nazwał, to byłoby lepiej po *russku*?...

— Ach! to... *ty praw* (masz słusznie)... ja tobie powiem na ucho... choć on pułkownik, ale... *wsio taki*... zrobił to strasznie po duracku.

Mimo tej krytyki swoich pisców komitet urządzający zatwierdził projekt pułkownika Chwostowa, dał mu za wykonanie tej pracy 2250 rsr. gratyfikacji przedstawił go do orderu za odznaczenie się i powierzył mu nową czynność tegoż samego rodzaju.

Iwan Iwanowicz siedzi obecnie nad słównikiem jeograficznym zachodniej i południowej Słowiańszczyzny i obmyśla dla różnych miejscowości nazwiska, które

wprowadzone być mają w użycie jak tylko Moskwa państwem wszechsłowiańskiem się stanie.

Praca ta idzie mu powoli, mimo to jednak postępuje. Dziś już zapowiedzieć możemy, że jeżeli kiedykolwiek idea panslawizmu moskiewskiego zostanie urzeczywistnioną, Praga będzie się nazywała *Porog*, Podiebrad *Pajdibrad*, Wyższehrad *Wyżnijgorod*, a Karlsbad *Carskaja bania*... Jak który z pisarzy, naprzykład Palacki w nowem wydaniu lub dalszym ciągu swej historji poważy się użyć nazwy „zagranicznej“, to jest czeskiej albo niemieckiej, to zapłaci sto rubli kary kontrawencyjnej i pociągniętym będzie do osobistej odpowiedzialności, kara zaś wpłynie w połowie do kieszeni pułkownika Chwostowa, a w drugiej połowie do kieszeni denuncjanta, zupełnie tak jak w Warszawie.

Komitet urządzający jest jak najmocniej przekonanym, że jak oporządzi Warszawę i Kongresówkę, to się przeniesie do Pragi i tam swą czynność cywilizacyjną dalej prowadzić będzie, dla tego tak się wcześnie zabiera do pracy i wszystkie rozporządzenia swoje przepisywać każe na rąk kilkanaście, zostawiając tylko miejsca na imiona własne i daty dla użytku Słowianszczyzny.

Ponieważ przy wykonywaniu tej pracy pułkownik Chwostow dał dowody niemałej biegłości w jeografji, i ponieważ reforma jeograficzna Słowiańszczyzny nie przynosi mu do czasu żadnych dochodów, przeto odkomenderowano go także do zreformowania poczty.

Jemu należy wznieść pomnik, jeżeli obecnie ta instytucja stoi w Kongresówce tak jak nigdzie w Europie, jeżeli niepodobna wyekspedjować listu na koszt

odbierającego o dwie mile, choć go można wyprawiać na koszt do Ameryki, i jeżeli kto chce na drugi dzień po początku kwartału zaprenumerować jakie pismo ten już tego zupełnie uczynić nie może.

Na pochwałę pułkownika Chwostowa dodać tu trzeba, że wszystkie te tyle ważne zajęcia bynajmniej nie wysiębiły jego serca.

Pułkownik Chwostow jest niesłychanie kochliwym i niezmiernie zaufanym w swoich podbójczych, wielce niebezpiecznych dla serc niewieścich powabach i talentach.

III.

Niedawno, — powieść nasza jest bowiem świeża, — pułkownik Iwan Iwanowicz powrócił do domu w okropnym humorze. *Obstupuerunt omnes intentique ora tenebant*, co się tłómaczy: „potruchleli dieńszczyki i powyciągali się jak struny.“

Iwan Iwanowicz rozdał kilka *„paszczoczyn“* (policzków), wysypał z dykcjonarza złego humoru wiele „malowniczych“ wyrażeń, ale przyczyny swego złego humoru nikomu z domowników nie objaśnił.

Nam tylko wolno będzie tę przyczynę odgadnąć, jeżeli posłuchamy pogadanki jaką prowadził z samym sobą.

Pogadanka ta zaczęła się od kilkakrotnego powtórzenia wykrzyknika.

— Ach! laszka ty.., laszka przeklęta!...

Jak widać z tego wykrzyknika szanownego reformatora słowiańszczyzny *in spe*, musiało coś ukłuć w okolicę serca... jakaś „laszka“ ostrem żądełkiem.

— No i ktoby pomyślał. — mówił do siebie ochłonąwszy nieco pułkownik, — ani to grafinia, ani wielka dama, ani co... w perkaliki ubrana, biedna widocznie, a patrzy tak z góry... i na kogo?... na pułkownika!... ot, *durna* i koniec.

Zapalił cygaro i rzekł po chwili:

— Tyle mnie ona obchodzi, co ten dym... phu!...

Puścił olbrzymi kłąb dymu i przypatrywał mu się z zadowoleniem. Widać było, że ani dym ani laszka nie były dla niego tak obojętne, jak to pragnął wmówić sam w siebie.

Starał się myślić o czem innem, ale mu się wcale nie wiodło. Z każdym nowym kłębem dymu „przeklęta laszka“ stawała na nowo przed jego wyobraźnią, a nawet przed jego oczyma, bo mu się zdawało, że dym z cygara kłębi się w kształt jej postaci.

— Niet!... — zawołał po niejakim czasie, uderzając pięścią w stół, — albo ja nie jestem Chwostem, albo ona musi być moja.

Zadumał się, jakby to zrobić.

Zdawało mu się niepodobnem, żeby zrobić nie można było. Kto urządzał Polskę; i był już z góry przeznaczonym do reformowania Słowiańszczyzny, nie mógł się cofnąć przed projektem ujarzmienia laszki, która choć ani gratinia, ani co, śmiała na pułkownika patrzeć z góry i gardzić jego zalotami.

W każdym razie pułkownik widział, że sam przez się niewiele zrobi. Z gruba ociosana jego figura, nieco zamało miała na to kusicielskich powabów.

Wpadł na myśl działania przez pośrednictwo.

— Ach! — zawołał, — trzebaby mi tu *padlecu*, ale to takiego *padlecu*, jakiego jeszcze święta ziemia nie nosiła.

W pierwszej chwili postawił zbyt trudny warunek, próżno więc szukał w myśli indywiduum, któreby temu warunkowi odpowiedzieć mogło.

— No, — rzekł po chwili ustępując nieco od swych wymagań, — taki jakiego jeszcze święta ziemia nie nosiła, to on niekoniecznie musi być... niech sobie będzie zwyczajny... pospolity padlec... Nie, takiego tak ja wynajdę.

Zadzwonił, — wbiegł dieńszczyk.

— *Padawaj spisok czynownikow* (dawaj-mi listę urzędników).

Rozkaz wypełniono natychmiast.

Iwan Iwanowicz wziął ją w rękę i zaczął po kolei przebiegać imiona urzędników pocztowych.

— Kapustin... za stary... Gręczycki... żonaty... Dawidow... nu, od tego takby każda kobieta za dziewiąte morze uciekła... Mirycz... pijanica... Skwirski... tak dzieciak jeszcze... Bałwanow...

Nad Bałwanowem zatrzymał się cokolwiek dłużej.

— Bałwanow byłby dobry, — zadecydował wreszcie, — ale... *ruskij*, a laszka, *czort pabieri*, harda...

Z tego przeglądu nazwisk okazuje się, że pułkownik Chwostow potrzebował człowieka, który oprócz głównej kwalifikacji „padlectwa“, byłby nadto nie stary, nie żonaty, przystojny, mogący się podobać, a co najważniejsza Polak.

Wertował listę po trzy razy, zatrzymał się nieco dłużej nad niektóremi polskiemi nazwiskami, porzucał je i wracał do nich znowu, aż nareszcie wykrzyknął:

— Pięknie uorganizowane bióro, ani jednego poczciwego padleca!...

Rzucił listę w twarz dieńszczykowi.

— Iwan, — zawołał po chwili, — znasz bryftregerów?...

— Znam wszystkich, — odpowiedział sługa.

— Tak gadaj mnie ich po jednemu.

— Iwanow... wasze prewosch...

— On żonaty ?..

— Jakże nie, wasze prewoschoditielstwo.

— Kto tobie kazał gadać żonatych... *chałastych...* (kawalerów).

— Petrow... wasze...

— On młody ?...

— Nie starszy od mojego ojca, wasze...

Pułkownik podskoczył i tupnął:

— Kto tobie mówi, żebyś gadał staryków... młodych... młodych, powiadam.

— Pakiewicz...

— On Polak ?...

— Polak, wasze prewoschoditielstwo.

— I padlec ?...

— Nikak niet, wasze prewoschoditielstwo.

Iwan Iwanowicz aż przyskoczył do sługi...

— Padleca, padleca, padleca !... — zawołał szarpiąc go za klapy ubrania.

— Agafonow...

— Nie Moskala, Polaka, powiadam...

Dieńszczyk blady jak ściana, wyciągnięty jak struna, z łzami kręcącemi się w głosie; odpowiedział:

— *Takich nietu* (nie ma)... wasze wysokoprewoschoditielstwo.

Pułkownik Chwostow ochłódł nagle, puścił sługusa, i zaczął chodzić po pokoju powtarzając:

— Nietu, nietu, nietu !... Ach ! poczekaj pan Pakiewicz... ty i Polak, i nie żonaty, i młody, i przystojny i nie padlec... i *nietu* drugiego... ach ! pocze-

kaj... jeśli ty nie chcesz dobrowolnie tego co ja chcę, tak ja ciebie wezmę na wędkę!...

Drżący Iwan słuchał monologu barynia.

— Pasłysz, — rzekł mu w końcu pułkownik, za godzinę masz wiedzieć, o jakiej porze i na których ulicach twój Pakiewicz wyjmuje listy ze skrzynek... dasz mi o tem znać... a dowiesz się nie od niego samego, tylko tak, żeby nikt nie wiedział, że się o tem dowiadywałeś. Zrozumiałeś?

— Ponimaju, wasze prewoschoditielstwo.

Po wydaniu takiego polecenia, które dieńszczyk poszedł spełnić natychmiast, pułkownik kazał podać samowar i zaczął pić szklankę po szklance *czaju*, powtarzając od czasu do czasu:

— Ach! laszka ty, laszka przeklęta!..

Następnie wpadł w słodką zadumę.

IV.

Zadanie jakie pułkownik swemu dieńszczykowi postawił w istocie nie było trudne. Słudze zwierzchnika żaden podwładny urzędnik nie śmiałby odmówić objaśnień. W kwandrans zatem już dieńszczyk wiedział z których skrzynek Pakiewicz wyjmuje listy i o której godzinie tej czynności dopełnia.

Każdy inny sługa na jego miejscu byłby z tem natychmiast wrócił do pana, ale tak nie można postępować w służbie moskiewskiej. Pan kazał za godzinę, więc prędzej jak za godzinę nie wolno spełnić polecenia, — przyspieszenie byłoby wziętem za *wolnodumstwo*, a walnodumstwo to najwyższa zbrodnia.

Zrobić dobrze bez rozkazu, uprzedzić życzenia, dokonać czegoś własnym pomysłem, okazać jakąbądź inicjatywę, jest w oczach czynowników moskiewskich czynem równie karogodnym jak nie spełnić polecenia, a może karogodniejszym.

Bywają przypadki, że zwierzchnik, w którego myśl trafił podwładny, w przystępie dobrego humoru przebaczy mu na razie podobne wykroczenie, ale to pewne, że go nigdy nie zapomni, i że ów podwładny czy sługa dostanie w jego pojęciu i pamięci przydomek *sliszkom*

umion (zbyt mądry), przydomek który u Moskali jest najgorszą rekomendacją, i zupełnie pozbawia zaufania.

Dieńszczyk pułkownika wiedział o tem i dopiero za godzinę stawił się przed panem.

Iwan Iwanowicz miał już czas do pewnego stopnia zapomnieć o wydanem poleceniu, ukazanie się więc dieńszczyka dało powód do dosyć charakterystycznej rozmowy.

— A co? — zapytał *baryń* wyprężonego i przy drzwiach stojącego sługi.

— Mam go. — odpowiedział dieńszczyk.

Potomek pra-pra...Chwosta uderzył się w czoło.

— Kogo u djabła... — rzekł niezbyt zadowolony z lakonicznych słów Iwana.

— Wy kazali...

— Ach! ja kazał, — zawołał nagle przypominając sobie Chwostow, — i ty masz... no, to dobrze to dobrze... ty masz... *padleca?...*

— Niet, wasze prewoschoditielstwo, — mam Pakiewicza.

— Ach! Pakiewicza... czort!.. co to za jeden ten Pakiewicz?...

— Bryftreger.

— Ach! bryftregier... a czort-że mnie do bryftregiera?...

Iwan pobladł. Pan widocznie zapomniał o rozkazie, a w służbie moskiewskiej przypominać się nie godzi.

Drżący, nieśmiałym głosem, odezwał się nareszcie:

— Wasze prewoschoditieltswo... *izwinitie*... mieliście go złapać na wędkę.

Iwan Iwanowicz aż podskoczył.

— Ach! na wędkę! na wędkę!.. to prawda, ja byłbym o tem zupełnie zapomniał... Iwan, ty *dobryj małyj*... na wędkę mnie jego trzeba:.. na wędkę.

Dieńszczykowi zdawało się, że wyrósł o dwa łokcie. Pochwała pańska to najświetniejsza nagroda moskiewskiego niewolnika, nagroda o której rzadko nawet marzyć mu wolno. Jeśli się pan nie gniewa i nie bije, to już rzadkie szczęście dla niego, pochwała jest nadmiarem szczęścia.

Biedny Iwanisko aż zgłupiał. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale głosu wydobyć nie mógł. Coś mu się kręciło w oczach niby łzy szczęścia, lecz nie śmiał podnieść ręki do oczu, bo w obec *barynia* ręce winny być w kierunku szwów wyprężone.

— Baryń moj... baryń... — bąkał niezrozumiale.

Chwila zadowolenia pułkownika była krótka jak błyskawica. Nasępił nagle czoło, tupnął nogą, i krzyknął na sługę:

— No, i cóż tam stoisz jak głupi?... masz Pakiewicza, tak go dawaj.

— Wasze prewoschoditielstwo...

— Dawaj powiadam... — z gniewem powtórzył pułkownik, — gdzie on?...

— Wasze prewoschoditielstwo, wyjmuje listy ze skrzynek na całem krakowskiem przedmieściu o godzinie piątej popołudniu.

— Ach!.. wyjmuje listy ze skrzynek... a któraż teraz.

— Czwarta, wasze prewoschoditielstwo... za godzinę...

— Wybornie, doskonale! — zakończył zacierając ręce pułkownik.

Czoło dieńszczyka rozjaśniło się na nowo, i na miejsce przerażenia radość zaczęła wstępować w jego duszę.

Był pewnym, że nie długo stanie u zenitu szczęścia, że pan mu powie?

— *Paszoł won!*

Stało się jednakże inaczej.

Pułkownik Chwostow nie odrazu uszczęśliwił dieńszczyka rozkazem ustąpienia z przed swego oblicza.

Poszedł do biurka, otworzył jedną szufladkę, wydobył z niej pugilares, a z pugilaresu paczkę asygnat i zaczął się przyglądać jednej po drugiej, mrucząc pod nosem:

— Dziesięć rubli... czort... to za mało... sto... czort... chyba za wiele.

Widocznie targował się sam z sobą. Targ ten potrwał jeszcze przez chwilę. Dwadzieścia pięć wydało się jeszcze zbyt małem, stanęło na pięćdziesięciu.

— *Pasłysz Iwan!* — zawołał zdecydowany, dając znak dieńszczykowi żeby się zbliżył.

Iwan żołnierskim krokiem przystąpił do barynia.

— Ty widzisz tę bumażkę?

— Widzę, wasze prewoschoditielstwo.

— Tak pójdziesz z nią i wrzucisz ją do skrzynki pocztowej na krakowskiem przedmieściu.

— Bez koperty?... — ośmielił się zapytać dieńszczyk.

— Ach ty!... kto tobie mówi o kopercie?... — zawrzał reformator Polski, przyszły przekształciciel Słowiańszczyzny.

— *Słuszajus*... wasze pre...

— *Małczat'*, — zakomenderował waleczny zwycięzca z pod Białodębów, — wrzucisz tę bumażkę do skrzynki pocztowej, potem staniesz na boku i dopilnujesz jak twój Pakiewicz będzie wyjmował listy.

— *Słuszajus*... wasze...

— Potem pójdziesz zdaleka za Pakiewiczem i dopilnujesz co zrobi z temi pieniędzmi... Wyda czy nie wyda, nic ci do tego. Masz nic nie mówić tylko patrzeć... Wieczór przyjdziesz do mnie i opowiesz co się stało.

Pięćdziesięcio-rublowa asygnata była wędką wynalezioną przez pułkownika.

V.

Marjan Pakiewicz był jednym z tych ludzi, których los, stary szachraj, z upodobaniem wyprowadza w pole.

Syn dosyć zamożnego urzędnika, mógł mieć nadzieję, że na tej samej drodze, jaką jego ojciec doszedł do pewnego znaczenia i dobrobytu, i on także będzie mógł sobie zapewnić spokojne życie.

Kształcono go z początku odpowiednio do biurowej karjery. Nim jednak ukończył gimnazjum, rozpoczęły się manifestacje, wybuchło powstanie, Pakiewicz poszedł *do lasu*.

Ranny ciężko zaraz w pierwszej bitwie, przywieziony zostal cichaczem do Warszawy, przeleżał kilkanaście miesięcy i gdy nareszcie przyszedł do zdrowia, dowiedział się, że wracać do obozu nie było już po co, ale że ojciec za pomocą wpływów i stosunków zdołał zatrzeć zupełnie ślady jego bytności w powstaniu, nic więc jego dalszym losom nie stawało na zawadzie.

Nic, prócz reformatorów moskiewskich.

Marjan miał zamiar dokończyć przerwane nauki i wejść do biura. Fatalnym a pospolitym w Kongresówce systematem, kształcono go tak, że do innego

zawodu nie był zdolnym i jak znaczna liczba młodzieży, w posadzie rządowej widzieć musiał jedynie zbawienie.

Tymczasem zaczęto systematycznie usuwać żywioł polski od służby rządowej. Ojciec Marjana z wielkiem wysileniem zaledwie zdołał go uczepić na aplikacji w dyrekcji poczt, a wkrótce potem sam popadł w niełaskę u swych zwierzchników, i spadł z etatu, a raczej zepchniętym z niego został, przez najeżdżających z od ległych gubernji carstwa *korennych russkich*.

Utrata miejsca przed wysłużeniem emerytury jest dla urzędnika ciosem zabójczym. Stary Pakiewicz uczuł ten cios tak głęboko, że wkrótce legł na łoże, z którego ledwie powstał Marjan. Kilko-tygodniowa choroba wyczerpała resztę sił jego, i resztę zapasów pieniężnych. Biedny aplikant pierwszy dług zaciągnął na pogrzeb ojca.

Matka ze zdrowiem zrujnowanem ciężkiemi przejściami rodziny, została na opiece Marjana, a Marjan był aplikantem, to jest nie brał ani grosza pensji, tylko dawaniem lekcji, jakie skończony gimnazista dawać może, a więc lekcji płatnych najgorzej, zarabiać musiał na utrzymanie dwojga.

Ażeby sobie ulżyć nieco, zaczął się starać w biurze o jakąś płatną posadę. Pilność i zdolność, jakiej dawał dowody, jednała mu zwierzchników, ale na każdą wakującą posadę nasyłano kandydatów z cesarstwa, więc mimo szczerych chęci nic mu dać nie było można, aż się sam zdecydował nareszcie, przyciśnięty biedą, przejść z szeregu urzędników na listę posługaczy i zacząć zawód urzędniczy od skromnej, ale płatnej, funkcji listonosza.

Na te posady urzędnicy Moskale protegowali także swoich faworytów niższego stopnia, mimo to jednak Pakiewiczowi udało się otrzymać to czego pragnął.

Nędzna pensja roznosiciela listów z trudnością jemu i matce wystarczała na wyżycie, ale dochodziła regularnie, można było na nią liczyć na pewno, można było mniej trochę troskać się o jutro.

I na to nędzne życie przyszła wkrótce klęska.

Pomimo ostrożności i sumienności, z jaką pełnił swe obowiązki, zdarzyło się raz Pakiewiczowi, że list rekomendowany oddał w niewłaściwe ręce. Pomyłkę wykryto i naprawiono, oprócz spóźnienia innej straty nie było, dostał jednak surową naganę i mało nie utracił miejsca.

Zmartwienie spowodowane tym wypadkiem sprowadziło mu znów do domu częstego, natrętnego i kosztownego gościa — chorobę.

Płaca listonosza nie była dostateczną na leczenie chorej matki; Marjan znów zadłużać się musiał.

W dniu, któryśmy już opisali w poprzednich rozdziałach, w dniu w którym pułkownik Chwostow postanowił sobie złowić na wędkę łotra, aby był jego sprzymierzeńcem w pozyskaniu względów dumnej i nieprzystępnej laszki, Pakiewiczowi doręczono z rana nakaz komorniczy, zagrażający zajęciem i sprzedażą ruchomości, oraz bezwłocznym wyrzuceniem z mieszkania, jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie zapłaci właścicielowi domu w którym mieszkał, stu kilkudziesięciu złotych zaległego komornego.

W domu nie było pieniędzy, do pierwszego nawet było daleko, choroba matki wymagała szybkiej pomocy...

Marjan wyszedł z domu z rozpaczą, bo nawet bez nadziei znalezienia gdziebądź kredytu na taką znaczną w jego położeniu summę.

W krótkich chwilach, jakie mu zostawały od nużących obowiązków pocztowych, biegł wszędzie gdzie mógł mieć choć najmniejszą nadzieję znalezienia pomocy, lecz wszędzie kołatał napróżno.

W jednem tylko miejscu, jakiś stary przyjaciel przyrzekł mu pożyczkę, — ale że z pomocą w nieszczęściu najchętniej ci śpieszyć gotowi, co sami nieszczęścia doznali, więc i ów przyjaciel ojca nie miał gotówki, bo sam był w kłopotach, i dopiero obiecał się wystarać, nie prędzej jednak jak nazajutrz wieczór.

Nazajutrz rano zatem trzeba było z umierającą prawie matką być wyrzuconym na bruk.

Z ściśniętem sercem powrócił Marjan do swej pracy. W listach, które roznosił adresantom, były dnia tego widać same wesołe nowiny; czytał to na rozjaśniających się za jego wejściem obliczach odbiorców: dla niego tylko wesołych nowin nie było.

O godzinie piątej po południu wypadło mu wyjmować nowy zapas listów ze skrzynek poumieszczanych na ulicach.

Wiemy już jaka przy tej czynności czekała go niespodzianka.

W ostatniej skrzynce, której opróżnianie należało do niego, obok kilkunastu listów znalazł skarb, — banknot pięćdziesięcio-rublowy, bez koperty, bez adresu, bez żadnej wskazówki do kogo należy i dla kogo jest przeznaczonym.

Zrazu zaćmiło mu się w oczach: po chwili przyjrzał się lepiej papierkowi i rzekł do siebie z goryczą:

— Ach!... ludzie... nadto widać mają pieniędzy, gdy je tak rzucają nieoględnie!... Połowa takiej kwoty mogłaby ocalić spokój... ocalić życie mojej matki... tak... ocalić życie, bo ona umrze, jeśli nas jutro wyrzucą z mieszkania.

Mimo tego gorzkiego wyrzutu nie usunął papierka na stronę, nie schował go do kieszeni, lecz włożył do swej torby, razem z innemi listami, które miał zanieść do biura.

Dieńszczyk pułkownika zdaleka przypatrywał się temu, i zdumiał się tem niepomału.

— Ach! *prawornyj* (przebiegły) Polak, — rzekł półgłosem, — nasz brat by zaraz przepił, a on zwąchał o co tu chodzi i odda z pewnością!...

VI.

Po zadośćuczynieniu pierwszemu popędowi, który, jak to zauważył słynny dyplomata, jest zwykle dobry, w duszy Marjana rozpoczęła się straszna walka.

Trwała ona krótko, ale chwila przez którą trwała była jedną z chwil, jakie najtrudniej przeżyć; a nad któremi potem przez całe życie nieraz boleć trzeba.

— Mój Boże, — dumał, — jutro wieczór mam mieć pieniądze... za dwadzieścia cztery godzin mógłbym oddać, gdyby ktoś co ten banknot rzucił i co pewno nie stoi o taką summę, chciał mi na tę jedną dobę pożyczyć tego papierka... gdybym przynajmniej miał pewność, że przez te dwadzieścia cztery godziny o zgubę swą się nie zapyta!

Łzy mu się zakręciły w oczach.

— Te pieniądze, — mówił do siebie, — to niby lekarstwo mogące ocalić życie mojej matki... i mnie tego lekarstwa dać jej nie wolno, dla tego, iż nie mam czem za nie zapłacić!

Marjan sam nie wiedząc o tem, postawił kwestję w sposób taki, który największego moralistę skłoniłby do rozgrzeszenia go, gdyby uległ pokusie na jaką został wystawiony.

Jeżeli dla ocalenia życia nie matce, ale komukolwiek z bliźnich byłoby potrzeba ukraść lekarstwo, czy jest kto coby zawahał się zostać na ten czas złodziejem?... ktoby się zawahał ten, aby nie przywłaszczyć sobie cudzej małoważnej własności, zostałby prostym zabójcą. Bezduszny tylko i do okrucieństwa nieludzki purytanizm mógłby przeciwny zrobić wybór.

— Bóg mi chyba zsyła tę pomoc, — rzekł do siebie Marjan, — zgrzeszyłbym, gdybym ją odepchnął. Dziś jeszcze wieczór pójdę na pocztę i powiem, żem w jednej ze skrzynek znalazł 50 rubli, że te pieniądze mam, ze je oddam natychmiast za zgłoszeniem się właściciela... Gdyby się właściciel zgłosił wprzód niż będę miał swoje, wprzód nim dostanę, to, co mam przyrzeczone na jutro, lub gdyby mnie jutrzejsza pożyczka zawiodła, w takim razie przedstawię mu położenie swoje, a nie ma na świecie człowieka, któryby mi nie wybaczył podobnego postępku.

Wszedł do bramy któregoś domu, wyjął z torby papierek i schował do kieszeni.

Iwan w tej chwili właśnie przechodził koło bramy, widział ruchy Marjana, rzeczy się domyślił.

— *Biedniażka*, — mruknął pod nosem, — otóż się złapał.

Żal mu się trochę zrobiło ofiary zastawionych sideł. Moskalisko serce miał dobre w gruncie, i przychodziła mu ochota ostrzedz Marjana, że się gubi.

Już krok postąpił ku niemu w tym celu, ale mu nagle przyszło na myśl:

— Nuż się wyda... nuż się jakim sposobem baryń dowie... Kazał mi szpiegować Pakiewicza, mógł równie dobrze komuś kazać szpiegować mnie:

Obejrzał się do koła niespokojnie.

— *Niet*, nie można, — rzekł do siebie, — może to wędka nie na niego ale na mnie.

Instynkt zachowawczy przemógł nad współczuciem, Marjan nieostrzeżony poszedł na pocztę.

Oddał listy, ukończył na tem służbę dzienną, i z piędziesięcioma rublami pobiegł czemprędzej do apteki.

Nim odebrał lekarstwo, które przyrządzano dla jego matki, wszedł do apteki dieńszczyk pułkownika, zamówiwszy się o coś, i trafił właśnie na chwilę, gdy Marjanowi wypłacano resztę z banknota.

— Znać zaraz że nie nasz brat, — powtórzył sobie, — nie do szynku poszedł a do apteki.

Marjan z lekarstwem pospieszył do domu, Iwan zaniósł relację pułkownikowi.

Najmniejszego wrażenia nie zrobiły na pułkowniku szczegóły, które każdego człowieka z sercem uderzyłyby niezawodnie i dobrze usposobiły dla Marjana. Próżno Iwan opowiadał, że biedny listonosz dopiero po długiem wahaniu zdecydował się przywłaszczyć sobie znalezione pieniądze, że zabrawszy je wreszcie nie poszedł na hulankę, jakby to każdy inny przywłaszczyciel uczynił, lecz po lekarstwo, które zaniósł prosto do domu, — Iwan Iwanowicz nie zajmował się tem bynajmniej. Jedynym szczegółem, o którym się chciał dowiedzieć, było, czy Marjan wziął bumażkę i czy ją zmienił.

Jak się tylko o tem dowiedział, Iwan Iwanowicz zatarł ręce i rzekł z zadowoleniem:

— Ha! kiedy tak, to go mam... Przyprowadź mi go tu natychmiast, ale pary z ust nie wypuść, po co go wołam i dla czego, bo jak się czego domyśli, zgi-

niesz. Ot, powiedz mu naprzykład, że pan pułkownik chce mu dać wyższą posadę.

— *Słuszaju-s,* — odrzekł Iwan, odchodząc wypełnić rozkaz.

Stosownie do ułożonego planu, Marjan odniosłszy matce lekarstwo i zapłaciwszy dług, za który go nazajutrz tradować miano, wybrał się na pocztę, ażeby donieść swemu zwierzchnikowi, że znalazł między listami pieniądze.

Wchodził właśnie do bramy gmachu pocztowego, gdy mu zastąpił drogę dieńszczyk.

— Pan pułkownik przykazał panu stawić się natychmiast do niego.

— W tej chwili... złożę tylko raport naczelnikowi...

— Pan pułkownik starszy od naczelnika... kiedy pan pułkownik każe przyjść natychmiast, to naczelnik może poczekać, — odpowiedział Iwan.

Argument był potężny. Biurokracja w ogóle, a przedewszystkiem biurokracja moskiewska nie zna odpowiedzi na tego rodzaju dowody.

Marjan musiał być posłusznym.

— Nie wiesz o co to chodzi? — zapytał dieńszczyka.

— *Nie znaju,* — odpowiedział Iwan.

Uszli parę kroków, dieńszczyk dodał niby z niechcenia:

— Podobno o coś dobrego dla was... usłyszycie jakąś miłą nowinę...

— Jakto?...

— Nu, pan pułkownik mi kazał, żebym wam powiedział, że dostaniecie większą posadę.

— Tak powiedział, — zawołał Marjan z radością.

— *Bogom klanuś*, — przysiągł się moskal.

— Ach coby to było za szczęście... jestem biedny, aż litość bierze... wyżyć nie mogę...

— A!... — westchnął Iwan.

— Mam matkę chorą, umierającą nieledwie...

— A!... — Iwan westchnął powtórnie.

— Jutro byłbym wyrzucony na bruk, jak pies... sprzedanoby mi ostatnie graty, zgubionoby mnie, gdyby nie...

— A!... — zawołał raz jeszcze dieńszczyk, — ale poco wy mnie to wszystko mówicie?... mnia baryń zabronił z wami o tem rozmawiać.

— Tak? — zapytał Marjan zdziwiony.

— *Bogom klanuś*, — powtórzył Iwan przysięgę.

Marjan nie pojmował co znaczyły słowa dieńszczyka. Niepewna nadzieja wyższej posady uśmiechała się do niego szczęściem, wybrnięciem z długów, nadzieją skromnego dobrobytu w przyszłości... ostatnie słowa dieńszczyka przejmowały go tajemniczą trwogą z której sobie nie mógł zdać sprawy.

Z bijącem silnie sprzecznemi uczuciami sercem, wchodził do mieszkania Chwostowa.

VII.

Gdy Iwan zameldował pułkownikowi przybycie Pakiewicza, dygnitarz pocztowy zrobił minę najsłodszą na jaką zdobyć się potrafił. Powstał nawet z kanapy na jego przyjęcie.

Marjan nieśmiało uchylił drzwi.

— Pan konduktor Pakiewicz, — rzekł słodko Chwostow, — proszę, proszę, niechże pan będzie łaskaw dalej.

— Listonoszem tylko jestem, panie pułkowniku,— odrzekł nie śmiejąc odejść ode drzwi Marjan, — to jest, — poprawił się, — bryftregerem.

Bryftreger jest to oficjalny tytuł listonosza, Pakiewicz bał się czy spolszczeniem go nie obrazi dostojnika i dla tego się poprawił.

— Bryftregierem, pan powiada, — powtórzył z uśmiechem Chwostow,— a no, kiedy ja mówię, że pan konduktor, bo pan konduktor i *połno* (basta), ja się nie mylę.

Iwan Iwanowicz chciał się widocznie pobawić w monarcę w obec biednego oficjalisty.

Był pewnym, że twarz Pakiewicza rozpromienieje nadzieją. Marjan jednak był smutny.

— Jaśnie wielmożny panie, — rzekł, — łaska to wielka, ale konduktor potrzebuje kaucji...

— Kaucji, co to kaucja?...

— *Załog*.... sto osiemdziesiąt rubli, zkądbym je wziął?...

— Ach!... sto osiemdziesiąt rubli... głupstwo, panie Pakiewicz... już ja w tem jestem, żeby pan miał sto osiemdziesiąt rubli na *załog*.

— Panie pułkowniku, wdzięczność dozgonna..,

— Nu, nu, daj pan pokój, panie nadkonduktorze. nie ma co dziękować...

— Na wyraz „nadkonduktora“ Marjan zrobił giest zdumienia.

Chwostow spostrzegł jakie wywarł wrażenie i kuł żelazo, póki było gorące, aby tym bardziej zdumić i powolnym swym chęciom uczynić nieszczęśliwego proletarjusza.

— Ja, zdaje się, powiedziałem panu: „panie nadkonduktorze?“... nieprawda?...

— Tak jest, panie pułkowniku.., żartem zapewne...

— Ja nie żartuję nigdy... kiedy powiedziałem, tak pan za miesiąc będziesz nadkonduktorem... i *załog* będzie... wszystko będzie...

— Panie pułkowniku słów mi braknie, ażeby podziękować za to niespodziewane i niepojęte szczęście.

— Pan powiadasz niospodziewane i niepojęte... ach! bo ja panu nic nie wytłómaczył... niech pan siada i zapali cygarko... zaraz pan wszystko wiedzieć będzie.

To mówiąc Chwostow poufale wziął pod rękę Pakiewicza, przyprowadził go do kanapy, posadził, dał mu w rękę cygaro, potarł zapałkę, podał ognia.

Marjan nie pojmował co się z nim dzieje, na kanapie pułkownikowskiej siedział jak na żarzących się węglach. cygaro palił z obawy, żeby zgaśnięcie jego nie obraziło pułkownika.

Któż jest skory do wątpienia o szczęściu, kiedy się ono do niego uśmiecha, — a jednak bał się wierzyć, przeczuwał jakąś pokusę czy przeszkodę. jakieś rozczarowanie. jakieś zbudzenie ze snu słodkiego, w który go wprowadziły słowa pułkownika.

Chwostow usiadł naprzeciw niego w fotelu, zaciągnął się cygarem i tak zaczął:

— Czy pan zna pannę Annę Milską?

— Nie znam. panie pułkowniku,

— A!... pan nie zna... ona mieszka na Lesznie... róg Konwiktorskiej... pan nie wie?...

— Nie wiem, panie pułkowniku.

— A!... pan nie wie... śliczna dziewczyna... krew z mlekiem... pan jakby ją zobaczył, toby się zaraz zakochał... bo to młode serce to jak hubka... no, no, no, panie nadkonduktorze, ja się znam na tem... i ja był młody...

Mówiąc to Iwan Iwanowicz, klepał po ramieniu „pana nadkonduktora“, i uśmiechał się wesoło.

Marjan nie wiedział co odpowiedzieć, i zawstydzony spuścił oczy.

— Iwan, — zawołał klaszcząc w ręce pułkownik. Sługa ukazał się natychmiast.

Podaj wódki, ja do pana wypić muszę, panie nadkonduktorze...

Wódka była za chwilę. Marjan nie pijał nigdy, z rąk jednak pułkownika nie śmiał nie wypić.

Chwostow powrócił do rozmowy.

— Tak pan nie zna panny Anny Milskiej? — zaczął *da capo.*

— Nie mam dotąd zaszczytu, panie pułkowniku.

— Ah!... nu, to nic... ja ją znam... to dosyć... pan ją pozna... nie prawdaż?...

— Jeżeli to panu pułkownikowi sprawi przyjemność, — odrzekł jąkając się nieco Marjan.

— *Da*, panie, *da*... mnie to przyjemność wielką sprawi... a wie pan co mnie jeszcze większą sprawi przyjemność... ot... niech się pan z nią ożeni.

Serce Marjana było wolne, mógł więc odpowiedzieć, że dopiero po zabraniu znajomości będzie w stanie się zdecydować, — spostrzegł jednak odrazu, że niespodziane względy pułkownika właśnie z tej chęci wyswatania go pochodziły.

Swaty tego rodzaju wydały mu się tak podejrzane, że mu aż krew oburzeniem w żyłach zawrzała.

Wódka, którą wypił, uderzyła mu też do głowy, i czyniła śmielszym do odpowiedzi.

— Panie pułkowniku, — rzekł z godnością, — jeżeli to warunek mego konduktorstwa czy nadkonduktorstwa...

— Co to warunek? — przerwał rozmyślnie pułkownik, choć doskonale rozumiał wyraz, chcąc zbić Marjana z tropu odpowiedzi, która mu się nie bardzo podobała.

— *Usłowje*, — przetłumaczył Pakiewicz.

— Ach! *usłowje*... tak, ożenić się z panną Anną, to *usłowje*, żeby zostać nadkonduktorem, i mieć kaucję i protekcję, i wszystko... a główna rzecz często i daleko z pocztą wyjeżdżać... pan rozumiesz?...

— Rozumiem, panie pułkowniku, — odrzekł siląc się na spokój, ale z krwią nabiegłemi oczyma Marjan, — rozumiem i jeżeli to jest warunek... wolę pozostać bryftregerem.

Pułkownik Chwostow namarszczył brwi. Zdawało się że za chwilę strasznym gniewem wybuchnie, ale uspokoił się zaraz, przybrał twarz lisim uśmiechem i słodziutkim głosem tak się odezwał:

— Ach!... pan chce zostać bryftregerem... nu, wolna pańska wola, ja nie przymuszam... choć na pana miejscu ja bym wolał nadkonduktorem i *załog* i wszystko... ale kiedy pan chce, może pan zostać bryftregerem i ożenić się z panną Anną.

Marjan zdziwiony patrzył na pułkownika, jakby miał szaleńca przed sobą.

Chwostow cedził dalej skówko po słówku.

— Jak pan się ożeni z panną Milską i zostanie bryftregerem... i nie będzie bardzo w domu siedział... to pan... Ach! zapomniałem jaki to dziś dzień?...

— Sobota, panie pułkowniku.

— Nu, tak pan co sobota w skrzynce pocztowej znajdzie dla siebie pięćdziesiąt rubli bez koperty... tak jak dziś.

Marjan zbladł, cygaro wypadło mu z rąk, zachwiał się i byłby spadł z kanapy, gdyby go nie podtrzymał Chwostow.

VIII.

Gdyby kto widział pułkownika Chwostowa jak ratował bliskiego omdlenia Pakiewicza, nigdyby nie powiedział, że Moskale nie są jeszcze cywilizowanym narodem.

Z macierzyńską niemal troskliwością podał mu do wąchania flakonik, — nie z anodynami prawda, lecz wódką, — i powtarzał najtkliwszym głosem:

— *Szto-że wam*, pan Pakiewicz, *szto-że wam lubiezniejszyj* pan Pakiewicz.

Marjan przyszedł do przytomności. Wódka silniej i prędzej niż anodyny podziałała.

Chwostów usadził go na nowo i tym samym słodziutkiem głosem, co poprzednio rzekł, po chwili:

— Tak cóż pan Pakiewicz wybiera; nadkonduktora, czy piędziesiąt rubli co tydzień?...

Tygrys złagodniały na chwilę na nowo pokazał pazury i zęby.

— Panie pułkowniku, — rzekł Marjan błagalnym głosem, składając ręce przed Moskalem, — Bóg mi świadkiem, żem nie pomyślał o przywłaszczeniu sobie tych pieniędzy.

— Hm! hm!... nie pomyślał... nie pomyślał... z przekąsem powtórzył pułkownik. To ładnie ze strony

pana, że pan nie pomyślał, ale to brzydko że pan zrobił. Nie trzeba nigdy nic robić bez myśli...

— Panie pułkowniku... moje położenie... jutro zwrócę...

— Ha! ha! ha! ha!... — roześmiał się na całe gardło Chwostow, — pan jutro zwróci, a ja dziś przepędzę paną, gdzie pieprz rośnie... takich ludzi, którym ufać nie można u nas w służbie nie trzeba... służba pocztowa to rzecz święta... czy pan wiesz, że służba pocztowa święta rzecz?...

— Litości, panie pułkowniku.

— A!... litości... litości!... a pan miał litość nad tą biedną bumażką... pan że ją zaraz zaniósł do apteki czy do kabaku (szynku) i rozmienił... a pańska ona była... co?...

— Matka mi umierała... lekarstwo kupiłem... przebaczenia, jaśnie wielmożny panie.

— Jaż i gotów panu przebaczyć, panie Pakiewicz, — łagodniej odpowiedział pułkownik, — ale za karę... pan sam wiesz, że takie rzeczy nie mogą być bez kary... jakaby to była władza, którahy nie karała zbrodniarzy, sam pan powiesz?...

— Panie pułkowniku.

— Za karę pan musisz mnie pasłuchać... panna Anna Milska prześliczna panna... pan jej nie zna ale ja znam... No... namyśl się pan przez pięć minut.

Pułkownik zadzwonił, za chwilę ukazał się dieńszczyk.

— Nie puścisz go, — rozkazał sucho.

Położył swój zegarek na stole przed Marjanem i rzekł:

— Patrz pan... za pięć minut będę tutaj... jedno z dwojga... albo raczej jedno z trojga... nadkonduktor... pięćdziesiąt rubli co sobota, albo won ze służby... a jak pana z poczty wypędzą, to pana już nigdzie nie przyjmą... umiem ja postarać się o to.

Marjan został sam, bo milczącego dieńszyka, który stał przy drzwiach i oka z niego nie spuszczał, nie widział prawie... Został sam, aby przebyć pięć minut piekielnych męczarni.

W tych pięciu minutach przecierpiał tyle, że gdyby nawet jego postępek był najhaniebniejszą kradzieżą, piekło samo srożej by go za zbrodnię ukarać nie mogło.

— O Boże! — modlił się w duchu, — jam myślał, że nie grzeszę, jam sądził, że mi podajesz rękę, a Ty mnie karzesz tak okropnie, za ten postępek!...

Pierś jego wzdymała się i spadała gwałtownie.

— Przystać na żądania Chwostowa, jest to się spodlić, a nie przystać jest to się zgubić. Gdyby o mnie tylko chodziło, wolałbym ostatnią nędzę, wolałbym śmierć niźli podłość. Ale moja matka... moja nieszczęsna matka... jeśli jutro zostanę bez kawałka chleba, co się z nią konającą stanie?...

Łzy popłynęły mu po twarzy.

— Nie mam prawa się nie spodlić, — rzekł sam do siebie, — nie mam prawa odgrywać roli świętego i czystego człowieka, bom raz zbrudził już ręce, bom raz wszedł w konszachty z sumieniem... Przystanę.

Było to heroiczne postanowienie — bo heroizm, mówcie sobie co chcecie, może być nawet w kroku nagannym i podłym, jeźli do niego przymuszają takie okoliczności jakie przymuszały Marjana.

Był to więc heroizm, ale trwał krótko. Marjan wzdrygnął się na samą myśl podobnego postępku.

— A! nigdy... nigdy!... — rzekł uderzając się w czoło, — wolę zginąć, wolę zmarnieć...

Ale w tejże samej chwili jakby echo, jakby przestroga, jakby napomnienie, jakby wyrzut sumienia, wyrywały mu się z piersi wyrazy:

— Ale moja matka... moja matka... ją to dobije... mam że być matkobójcą, za to żem nie uległ pokusie, którą szatan zastawił na mnie, żem upadł w tej nadziei, iż jutro powstanę.

I znów powrócił do pierwszego postanowienia:

— Tak, tak... zrobiłem jedno, zrobię drugie... pcha mnie fatalizm, przeznaczenie... wiem że z dwojga złego wybierając mniejsze, zajdę do najgorszego, tak samo jak ten, który większe wybiera, ale... niech mam przynajmniej tę zasługę, żem wybrał mniejsze a nie większe.

Myśl ludzka, wola człowiecza, rozum i umysł są w takich położeniach, w jakiem obecnie znajdował się Marjan, niby wahadło. Co sekunda przerzucają się od jednego skrajnego do drugiego skrajnego postanowienia, aż nareszcie czas osłabi ich natężenia i rozpęd, i powoli, powoli zatrzymują się na pośredniem.

Marjan lata przemyślał przez te pięć minut, które mu zostawił kapitan, ale nim pięć minut ubiegło, już myśl jego wysilona gorączkowem miotaniem zatrzymała się i stanęła.

Stanęła na tym punkcie, na który wpadłby od razu człowiek spokojny, któryby w położeniu Marjana nie doznawał żadnej boleści, lecz zimnym rządził się rozumem.

Jedynym ratunkiem była odwłoka.

— Odwlec to trzeba, odwlec za wszelką cenę, niech się potem stanie co chce. Oto było ostatnie postanowienie Marjana.

Z zegarkową punktualnością w pięć minut ukazał się Chwostow.

— No i cóż, pan Pakiewicz się zgadza?...

— Jabym się zgodził, panie pułkowniku, — rzekł spuszczając oczy Marjan, — na zaślubienie panny Milskiej, ale...

— Jakie znów ale?... nie ma ale?...

— Ale... zachodzi wątpliwość, czy panna Milska będzie mnie chciała.

— Nu, to prawda... ja nie wiem, czy ona będzie pana chciała, ale to nie moja głowa... pan rób tak, żeby chciała, bo jak nie zechce, to ja postąpię tak samo jakby pan nie chciał, a pan wiesz, że ja pana mam w ręku...

— Panie pułkowniku... czyż podobna...

— Wszystko podobna... — tupnąwszy z gniewem rzekł Chwostow, — komu podobna brać nie swoje pieniądze i wydawać na swoje zbytki, temu wszystko podobna, pan wiesz co Napoleon powiedział o niepodobieństwach?...

Iwan Iwanowicz chciał się okazać erudytem.

— Dobrze, panie pułkowniku — jeżeli panna Milska mnie zechce, to się z nią ożenię, a zrobię wszystko żeby chciała, aby tylko na gniew jaśnie wielmożnego pana nie zasłużyć.

Pułkownik zatarł ręce z zadowolenia usłyszawszy to przyzwolenie, zaraz jednak zmienił ton i z grzecz-

nego jakim dotąd przemawiał do Marjana przerobił go na poufały, dający uczuć wyższość, ubliżający.

— Tak to dobrze, mój kochany Pakiewicz, to dobrze... ja wiedziałem, żeś ty nie Katon, i że się dasz namówić na wszystko... tyś nie z takich których nawet na wędkę złapać nie podobna... ty pójdziesz daleko i wysoko...

Gdy pułkownik wymawiał wyraz „daleko“, ręka jego mimowolnie kierowała się ku północo-wschodowi, w stronę Sybiru, a gdy mówił „wysoko“, podobnież instynktownie ku sufitowi się podniosła.

Trzeba było rezygnacji największej, żeby i na te słowa i na takie giesta, nie zachwiać się w postanowieniu ratowania się odwłoką.

Marjan miał tę rezygnację. Milczał.

Była to widać próba ze strony Chwostowa, bo po chwili znów wrócił do grzecznego tonu.

— Panie Pakiewicz, — rzekł, — niech pan nie sądzi, żebym ja zapomniał o naszych warunkach, cóż pan wybiera.

— Nie, panie pułkowniku, — odpowiedział Marjan stanowczo, — wypełnię wolę pańską, bo się jej oprzeć nie mogę, ożenię się—kiedy się panu zachciało być moim swatem dla swoich widoków... lecz nagrody za to nie przyjmę żadnej. Los mnie oddał w ręce pańskie... rób pan ze mną co chcesz, ale mnie do przyjęcia zapłaty za hańbę nie zmusisz...

— U! u! jaki pan dumny, — odpowiedział kiwając głową Iwan Iwanowicz, — jaki pan dumny!... No, rób pan sobie jak chcesz, mnie idzie tylko o to, żebyś zrobił, a im taniej zrobisz tym dla mnie lepiej, gniewać się o to nie będę.

— Pan pułkownik nie ma dalszych rozkazów?...

— Przyjdziesz pan za trzy dni i doniesiesz czyś się już poznał z panną Anną... potem za tydzień przyjdziesz powtórnie i powiesz że jesteś przyjęty.

Marjan ukłonił mu się i wyszedł.

IX.

Niech nikt nie myśli, żeby taktyka jakiej pułkownik użył względem Marjana była czemś niezwyczajnem i wyjątkowem. Pułkownik nie wynalazł systemu, wynalazł tylko sposób łatwiejszego przeprowadzenia planu. Inny na jego miejscu byłby czekał, aż który z podwładnych sam coś przeskrobie, on podał zręcznie sposobność do przeskrobania, w tem leżał cały jego dowcip, bo zresztą każdy czynownik moskiewski potrafi w sposób może mniej cyniczny, lecz tak samo przebiegły wyzyskiwać podwładnych, którzy cokolwiek mają na sumieniu.

Rola jaką miał odegrać Pakiewicz nie była jeszcze zupełnie jasną dla niego. Wiedział, że mu polecono zaznajomić się, zacząć romans, a wreszcie użyć wszelkich usiłowań, ażeby stanąć przed ołtarzem z osobą wskazaną, nie wiedział jednak do jakiego gatunku kobiet ta narzucona oblubienica należy.

Nie wiedział lecz nie troszczył się o to. Pierwszy domysł, najnaturalniejszy zresztą, wydał mu się tak trafnym, że nad nim nawet nie zastanawiał się dłużej i przyjął go za rzeczywistość.

— Pułkownik ma kochankę i chce ją wydać za mnie, — powiedział sobie, — ponieważ nic innego zro-

bić nie mogę, tylko odwlekać dopóki sobie jakiegoś zatrudnienia nie wyszukam, muszę się z nią poznać i zacząć prowadzić niby — romans. Będę go łudził, że się zgadzam na wszystko, a tymczasem będę myślał o sobie. Jak się choć cokolwiek zabezpieczę, jak będę mógł przypuszczać, że nazajutrz po wypędzeniu mnie ze służby matka moja nie umrze z nędzy, wtedy zrzucę przeklętą maskę, w którą mnie ubrał jego podstęp piekielny i zrobię co powinienem. Niech mnie wypędzą jak psa, lecz z *damą* jego się nie ożenię. Wolę... śmierć...

Program Marjana był tedy jasny. Człowiek najprawszy w świecie zmuszonym został do obłudy, udawania i odegrywania komedji, gdy mu się w sercu najkrwawsza tragedja odgrywała...

Miał zdać pierwszy raport pułkownikowi za trzy dni, — nie było czasu do stracenia, zaczął myślić o zaznajomieniu się z ową panną Milską.

Poszedł na wskazane przez pułkownika miejsce i prędko dopytał się o nią.

— Cóż to za jedna? — zapytał, wciągnąwszy w rozmowę kogoś co więcej wiedział o niej.

— Poczciwa, śliczna dziewczyna, z własnej pracy utrzymuje babkę staruszkę, — odpowiedział spytany.

— Z pracy? — rzekł z pewnem zdziwieniem i przekąsem.

— Tak jest... z pracy krwawej... niewdzięcznej... z igły.

— Bah!... igła nie wystarcza kobiecie na siebie samą, a coż dopiero na dwie.

— To prawda... ale babka ma niewielką emeryturę po mężu, to jej pomaga.

— I nikt więcej nie pomaga?... hę?...

Złośliwe zapytanie Marjana tylko zdziwienie wywołało w zagadniętym.

— A któżby więcej, proszę pana? — odpowiedział.

— O!... a któżto dopomaga pięknym dziewczętom?...

— E! e! mój panie, ja tam przyznam się o niej nic podobnego jeszcze nie słyszałem.

— Alem ja słyszał... jest podobno jakiś... pułkownik...

— Pułkownik... stary polski pułkownik Matusiński... a toż to przyjaciel męża jej babki... staruszek siwy jak gołąbek... bywa u nich niekiedy, ale... sam ma tak mało... pan wiesz, że to teraz nie bardzo uposażają byłych polskich wojskowych.

— Ja o innym pułkowniku myślałem, — rzekł zbity nieco z tropu Marjan.

— O innym nie słyszałem... — odpowiedział usłużny dostarczyciel objaśnień, — chyba że pana mylnie objaśniono...

— Mam informacje z najlepszego źródła, — dokończył Marjan, — bywa tam jakiś pułkownik Moskal.

Wyraz „Moskal“ wymówiony był cicho po obejrzeniu się do okoła. Inaczej teraz nie wymawiają go w Warszawie.

— Śmiej się pan z tego... — odparł *cicerone*, — ona jest wielką...

Obejrzał się i on dokoła, a widząc że nikogo nie ma blisko domówił wyraz, który się dziś w Warszawie ciszej jeszcze wymawia niż „Moskal".

— Ona jest wielką... patrjotką.

Na tem skończyła się rozmowa.

Nie mogąc na żaden sposób przypuścić, żeby pułkownik w takich widokach, z jakiemi się nie taił, zmuszał go do ożenienia się z poczciwą dziewczyną, Marjan naturalnie tym pierwszym wiadomościom nie uwierzył, i dalej szukał języka.

Wszędzie gdzie stąpił, kogobądź zapytał, zawsze słyszał jedną i tę samą litanję:

— Śliczna, poczciwa, biedna, pracowita, patrjotka.

Uwierzyć, żeby dziewczyna zostająca w jakichkolwiek stosunkach z pułkownikiem i gotowa przyjąć męża z jego rozkazu, mogła sobie obłudnem postępowaniem wyrobić u sąsiadów i sąsiadek taką czystą opinję, przypuścić żeby w postępowaniu zgubionej baczne oko plotkarek i plotkarzy okolicznych nie dostrzegło najmniejszej skazy, było poprostu niepodobna.

Marjan uwierzyć musiał nareszcie, że to co mu tak jednomyślnie powtarzano, było prawdą, i postępowanie pułkownika w inakszem mu się przedstawiło świetle.

Widział teraz, że Chwostow jedynie tylko dla tego, że sam nie spodziewał się dopiąć celu swoich zamiarów z poczciwą chociaż biedną dziewczyną, chciał dokazać swego za jego pośrednictwem, że sieć, którą go oplątał, zastawiał także i na nią, że chciał jedną wędką złapać dwie ryby.

Gdy to wszystko jasno stanęło mu przed oczyma, gdy zobaczył przepaść jaką Moskal pod nim wykopał, gdy zrozumiał, że żądają od niego, aby został nie parawanem występku, lecz jego sprawcą na cudzą korzyść, w pierwszej chwili chciał biedz do pułkownika i zdając się na jego łaskę i niełaskę, powiedzieć mu, że cobądź się z nim stanie, do takiej zbrodni nigdy nie przyłoży ręki.

Szedł już. W drodze ochłonął i zimno rozmyślać począł.

— I cóż z tego, że się zgubię?... sam sobą rozporządzać mam prawo... ale pułkownik po zdeptaniu mnie i rzuceniu na pastwę nędzy, po zabiciu bezkarnem mojej matki, zawsze będzie mógł jeszcze znaleźć na ten czy inny sposób, kogoś co się tej sprawy na jego korzyść podejmie i zgubi biedną dziewczynę. Obowiązkiem moim, kiedym zrozumiał o co idzie, jest teraz ocalić ją i wyrwać z zastawionych sieci.

Może to było fałszywe rozumowanie, — przynajmniej tak z pewnością egoiści je nazwą, — może Marjan powinien był przypuścić, że tego, czego sam zrobić nie chciał dla ocalenia siebie od hańby i nędzy, nikt na jego miejscu nie zrobi, — nie rozbieramy tego i sam tylko fakt podajemy.

Został obłudnym i grał komedję dla ocalenia siebie i swej matki, teraz postanowił wytrwać w tej roli przez poświęcenie.

Dziwne i straszne bywają położenia w życiu ludzkiem!...

Cokolwiekbądź przeciw pojęciom i rozumowaniom naszego bohatera powiedziećby można, — a wątpimy

ażeby wiele powiedzieć się dało,— nie bądźmy kwakrami i nie oskarżajmy go przed czasem.

Postępek jego niech będzie szlachetniejszym jeszcze w naszych oczach, od chwili w której zaczął nań przystawać już nie dla siebie i dla matki, ale dla obcej i nieznanej.

Zobaczmy jak się wziął do dzieła.

X.

W Pierwszej chwili zabrania znajomości z Anną Marjan uważał za narzucony, haniebny obowiązek i nie spieszyło mu się bynajmniej dopełnić tej wstrętnej czynności, — teraz zaczął to uważać za rodzaj misji, za wzniosłe i szczytne posłannictwo, nic więc dziwnego, że mu się spieszyć zaczęło.

Rozpytał się o owego pułkownika Matusińskiego i ułożył sobie, że do niego pójdzie zaraz nazajutrz.

Długo bił się z myślami czy tego przyjaciela wskazanej sobie dziewczyny i jej babki ma wtajemniczyć w powody swego zaznajomienia się, czy też inaczej bytność swoją u niego upozorować.

Wiele okoliczności przemawiało za otwartością, przeciwko niej jednakże mówiło ich jeszcze więcej. Fatalność, która go ścigała od chwili dotknięcia owego nieszczęsnego banknota, objawiła się i tutaj. Wiedział jak mu nakazywał postąpić obowiązek, chciał postąpić jak człowiek prawy, ale to nie było podobnem.

Przedewszystkiem, żeby postąpić szczerze, należało się przyznać jakim sposobem pułkownik Chwostow mógł nad nim powziąść taką władzę i zamienić go w pokornego niewolnika. Marjan wzdrygnął się na

myśl obrzucenia się błotem w obec ludzi czystych i prawych.

Byłby może przemógł ten wstyd fałszywy, i przed byłym polskim żołnierzem przyznał się otwarcie do winy, ale tutaj nasuwała się kwestja jak sobie pułkownik Matusiński postąpi.

Przypuszczać, że się zgodzi na wzięcie udziału w komedji, którą Marjan do czasu odgrywać potrzebował, było zupełnie niemożebnem.

— Stary wiarus, — powiedział sobie Marjan, — wypchnie mnie za drzwi jak usłyszy o co tu chodzi. W żadne konszachty wdawać się nie będzie, bo nie ma rąk splamionych dotknieciem nie swojej piędziesięcio - rublówki. Żamiast więc zwłoki zyskam tylko natychmiastowe zerwanie. Chwostow dowie się o wszystkiem, dotrzyma słowa... wypędzi mnie haniebnie... a biedna matka moja nie przeżyje tego.

Po długiej walce stanęło na tem, że Marjan tylko sam do czasu będzie wiedział o tajemnicy.

Miotany na przemian niecierpliwością i obawą, biedny nasz bohater oczekiwał chwili stanowczej. Raz rad ją był przyspieszyć, to znowu pragnął żeby nie nadeszła nigdy.

W jednej z takich chwil niecierpliwości, znalazłszy wolne półgodziny, pobiegł w stronę mieszkania Anny, i z rozpaloną głową zaczął w pobliżu domu chodzić po ulicy.

Nie długo czekał. Dwie kobiety wyszły z narożnej kamienicy.

Jedna była staruszka, druga młoda, śliczna dziewczyna. Obie ubrane skromnie, szły dosyć szybko i nie długo na schodach do kościoła znikły z oczu Marjana.

Znikły mu z oczu, ale pozostały we wspomnieniu.

Odgadł instynktem, że to te, z jakiemi miał się zaznajomić, aby uczynić zadość potężnej woli nieubłaganego zwierzchnika.

W innej chwili Anna Milska nie zrobiłaby może na nim wrażenia. Zajęty walką z losem o kawałek chleba, w twardej i uciążliwej pracy listonosza nie miał czasu żyć sercem i obojętnie patrzył na przesuwające się przed nim uśmiechnięte i pogodne, lub powabnym, poetycznym smutkiem piękne twarze kobiece.

Teraz uczuł że mu inaczej serce bić zaczęło.

Ciekawość jak wygląda dziewczyna, którą sobie upodobał pułkownik, jaką jest ta dla zdobycia której moskal swój szatański sposób wymyślił, współczucie jakie uczuł dla niej wprzód nim ją poznał, dowiedziawszy się o jej przymiotach i opinji, owo posłannictwo, owa misja wreszcie, do której spełnienia uczuł się powołanym, wszystko to razem usposobiło go inaczej, usposobiło tak, że gdy ją zobaczył wydała mu się piękniejszą jeszcze pewno i godniejszą sympatji niż w rzeczywistości było.

Śmiemy twierdzić, że w położeniu Marjana, w tych wyjątkowych okolicznościach, w jakich go postawił przypadek, każdy człowiek zdolny do kochania, mający serce wolne i poczciwe, musiałby się zakochać.

Marjan stanął jak przykuty do miejsca, nie mogąc oderwać wzroku od strony, w której zniknęło dziewczę tak dziwacznemi zrządzeniami losu postawione na jego drodze.

Jeśli nie zawsze w życiu miłość budzi się od razu silna, płomienista i wieczna, jeśli słusznie powstają na autorów, że w powieściach nazbyt często używają tego

sposobu zapalenia serc jak gdyby iskrą elektryczną,— w tym razie, każdy przyznać musi, że tak się stać było powinno i inaczej stać się nie mogło.

Ochłonąwszy po chwili z pierwszego wrażenia, Marjan poszedł do kościoła, odszukał ją wzrokiem i modlił się ślubując niebu, że dla niej wszystko poświęci, że z nią i obok niej idąc w życiu, aby jej szczęście zapewnić przed żadną nie cofnie się ofiarą, że przedewszystkiem, choćby mu głową nałożyć przyszło, zatryumfuje nad intrygami Chwostowa.

Była chwila przelotna, że jej wzrok spotkał się z jego wzrokiem. Zdawało mu się, że jej spojrzenie zatrzymało się na nim dłużej, i stało się dla niego balsamem siły i potęgi.

Odtąd już nie rozumował, nie badał, nie rozważał, nie szukał strony moralnej tego co robił, odtąd już kochał tylko i był przekonany, że wyjdzie zwycięzko z sieci, jakiemi go oplątał zwierzchnik mogący mu rozkazywać nie tylko w imieniu cara, ale i w imię spełnionego błędu.

Nie wszystkie pewno, ale niektóre przynajmniej charaktery miłość przejmuje zaufaniem w siły własne. Takim był charakter Marjana. Chwiejny aż dotąd i słaby, zdawał się teraz z herkulesową siłą stawać do boju z przeciwnościami, które się do koła piętrzyły.

Po południu poszedł do Matusińskiego.

Stary żołnierz przyjął go z tą szczerą otwartością, jaka cechuje wysłużonych synów Marsa.

Marjan celu swoich odwiedzin nie myślał pozorować i taić.

— Pana pułkownika zadziwia zapewne,— rzekł,—że nieznajomy i nie polecony przez nikogo, natrętnie szukam

jego znajomości. Będę szczerym, i powiem od razu co mnie sprowadza. Należę do ludzi pracy, stosunków mam nie wiele, a serce jak inni. Wiem, że w liczbie swoich przyjaciół masz panie pułkowniku młode dziewczę, godne twojej opieki i przyjaźni, bo sobie cześć i poważanie umiało zjednać u wszystkich. Chciałem za pośrednictwem twojem, panie pułkowniku, poznać bliżej sierotę, aby... jeśli się zgodzi na to. jeśli przeszkody jakie są, przełamać się dadzą. połączyć razem dwie sieroce dole.

Dodał jeszcze słów kilka aby objaśnić gdzie i u kogo wiadomości o nim szukać można, było to jednakże zbytecznem.

Pułkownika przedewszystkiem ujęła za serce szczerość. Krótka biografja własna, jaką mu opowiedział Marjan, rozrzewniła go.

— Umiem cenić człowieka, — zawołał — który mogąc mieć wyższe pretensje, odebrawszy wychowanie dające prawo do świetniejszego stanowiska, ma odwagę chwycić się w potrzebie pracy trudniejszej i mniej zaszczytnej, ale dającej skromny kawałek chleba. Takiego męża chciałem dla mojej Anusi.

Wzmianka o jednym z przyjaciół ojca Marjana, znanym osobiście pułkownikowi dopełniła reszty.

Stary uściskał młodego chłopca i przyrzekł go do Anny wprowadzić nazajutrz.

— Pamiętaj chłopcze tylko, — dodał rozstając się z nim z serdeczną poufałością, do jakiej wiek i stanowisko nadawały mu prawo, — pamiętaj o tem, że Anna nic nie ma, i gdyby się zgodziła pójść za ciebie, musiałbyś z początku przynajmniej podwajać pracę, aby ją utrzymać.

— Nie śmiałbym przyjść do pana, — odpowiedział Marjan, — gdybym o tem nie wiedział. Wiem, że świetne partje nie dla mnie, i gdybym nawet kochał, majątek byłby dla mnie przeszkodą do starania się o rękę ukochanej. Bóg pracy i dobrym intencjom pobłogosławi, temu jednemu ufam i w to wierzę.

W salonowem życiu rzeczy podobne nie dzieją się i nie mówią tak poprostu, ale powiastka nasza nie jest powieścią salonów, lecz tego swiata, w którym się mniej mówi, a za to czuć potrafi więcej.

XI.

Zbytecznem byłoby mówić, że nazajutrz pułkownik zaprowadził naszego bohatera do domu Milskich.

Pierwszemu życzeniu Chwostowa stało się zadość, a nawet więcej jak zadość.

Jeżeli dla Marjana dziewczę ujrzane w wyjątkowych okolicznościach, stało się bardziej interesującem, niżby było, gdyby owe okoliczności nie przyczyniły się do tego, dla Anny także zjawienie się Marjana w domu babki, stawało się niby słowem Opatrzności, mówiącem do niej:

— On przeznaczony dla ciebie.

Jak Marjan w twardej pracy swojego zawodu nie miał czasu żyć sercem i patrzeć w oczy ładnym dziewczętom, tak ona zapracowana w igielnych robotach nie wiedziała prawie dotychczas, a przynajmniej nie sądziła, aby jej już marzyć było wolno o innej przyszłości, o połączeniu swojej doli z inną, chociażby równie niezbyt godną zazdrości dolą, o zlaniu serca z innem sercem.

W szeregu jej znajomych, bardzo nielicznym zresztą, nie było dotąd nikogo, kogoby o matrymonjalne zamiary posądzać mogła albo chciała.

Pułkownik, kilku starych jego przyjaciół, podeszłe przyjaciółki babki, parę rówienniczek, wreszcie ów świat, który jej dostarczał roboty, ale w którym serdecznego ciepła szukałaby napróżno, oto był cały zakres jej znajomości i stosunków.

W takich okolicznościach ukazanie się w domu młodego człowieka, z twarzą przyjemną a oczyma wymownemi miłością, młodego człowieka wprowadzonego do domu przez najlepszego przyjaciela jej ukochanej naturalnej opiekunki i przewodniczki, musiało na niej większe wywrzeć wrażenie, niż wszystkie razem wzięte fakta powszedniego życia.

Dziewczyna w obec chłopca jest zawsze zapałką... tu okoliczności sprawiły, że najmniejsze potarcie było dostatecznem, ażeby ogień wybuchnął.

Nie ręczymy czy Marjan to zrozumiał odrazu, pewnem jest jednak, że znalazł odrazu wzajemność.

Życie jego odtąd podzieliło się na dwie połowy, jak zresztą wszystko dzieli się w życiu: dzień od nocy, złe od dobra, piękne od szkarady.

Dniem, dobrem, pięknem, był dlań stosunek z Anną, nocą, złem i szkaradą, sprawozdania jakie o tym stosunku składać musiał Chwostowowi.

W oznaczonym trzydniowym terminie, biedny niewolnik ugiął karku pod jarzmo twardej konieczności i pośpieszył do Iwana Iwanowicza.

— A!... pan Pakiewicz,— przywitał go pułkownik, — nu, tak ja i był pewny, że pan przyjdzie.

Marjan ukłonił się w milczeniu.

Pułkownik usadził go na krześle i rozpoczął wstrętne badanie.

— Pan poznał, pannę Annę?...

— Nie miałbym inaczej po co przychodzić, panie pułkowniku, — odpowiedział posępnie Marjan — poznałem.

— *Maładiec* (zuch)! — wykrzyknął Iwan Iwanowicz.

Widocznie ucieszył się niezmiernie tą wiadomością. Był to początek powodzenia.

Zatarł ręce, wstał z krzesła i rozpromieniony przystąpił do Marjana.

— Pan Pakiewicz!... kochany pan Pakiewicz!... — posłuchaj pan — ja panu powiem.

Położył lekko rękę na ramieniu podwładnego. — Marjan wstał z krzesła.

— Pan Pakiewicz!... kochany pan Pakiewicz!..— powtórzył, — ja panu powiem... dziś nie Wielkanoc, na Wielkanoc my się całujem ze wszystkiemi... nu, a ja pana i dziś ucałuję, choć nie Wielkanoc...

I objąwszy w ramiona nie przewidującego końca tej przemowy Marjana, wypiętnował mu na policzkach trzy pocałunki.

Biedny listonosz trzykroć znieważonym się uczuł. Krew nabiegała mu do oczu, ale musiał strawić w sobie oburzenie i milczeć.

— Nu, cóż dalej? — badał go Chwostow.

— Panie pułkowniku, czasu trzeba... cierpliwości...

— Toż ja i wiem, że czasu i cierpliwości trzeba... tylko, że u mnie i czasu i cierpliwości mało... to już... wybacz pan... ale taka moja natura... śpiesz się pan...

— Będę się śpieszył.

— Nu, jak pan myśli, panna Anna niczego dziewczyna?...

Nowem oburzeniem zawrzała krew w żyłach Marjana, pochwała ukochanej wypowiedziana ustami Moskala, który mu przedtem zwierzył swoje myśli i zamiary wydawała mu się najkrwawszą z obelg, jakiemi można było ją znieważyć, — mimo to miał dość potęgi aby zapanować nad sobą, i odrzekł tylko z nieźle odegranym spokojem:

— W istocie, panie pułkowniku.

— A! pan widzisz... dobry mam gust... dobry gust... — radował się Iwan Iwanowicz, — ja by pana drugi raz ucałował za to co pan mój gust pochwala, słowo panu daję ucałowałbym pana drugi raz...

— Zbytek łaski, panie pułkowniku.

— A także pan jej jak się wydał?

— Trudno odgadnąć, panie pułkowniku.

Chwostow się namarszczył.

— Trudno odgadnąć... co to trudno odgadnąć?— zawołał.

— Serce kobiety, to przepaść, — rzekł nieśmiało Marjan.

— Przepaść?... przepaść!... — przedrzeźniając powtórzył Chwostow, — co mnie pan gadasz o przepaści... Ot ja panu powiem.

Nachylił się do jego ucha i rzekł głośno, nieznacznym kalemburem:

— Jak pan sam nie chcesz przepaść to mi nie gadaj, że to przepaść.

Marjan spojrzał w oczy starającego się być dowcipnym prześladowcy, — litości we wzroku jego nie było.

— Więc pan masz nadzieję, że ona wyjdzie za pana?

Nie można było odpowiedzieć inaczej, Marjan zmuszony odpowiedział:

— Mam... chociaż...

— Co chociaż, — przerwał pułkownik, — nie ma chociaż — kiedy pan masz nadzieję, to ją masz i basta... widać z tego, że panna Anna zrobiła do pana ładne oczki...

— Panie pułkowniku...

— Niech mnie pan nie przerywa... A kiedy zrobiła ładne oczki to pan z nią zrobić może wszystko co pan chce...

— Panie pułkowniku...

— Mówiłem, żeby pan nie przerywał... A kiedy pan może zrobić wszystko co pan chce, to niech pan zrobi oto tak jak ja powiem. Powiedz jej pan, że ja chcę... nie to źle... że pan chce... nu, i tak nie dobrze... że pan by się ożenił... tak niech pan powie... ale cóż posada bryftregera... nie ma z czego żyć... ot pan by się ożenił, gdyby pan miał większą posadę... a więc, jeżeli ona chce żeby pan się ożenił, to niech pójdzie do pułkownika Chwostowa... i zrobi miłą buzię, i uśmiechnie się i przeprosi... a już pułkownik posadę da, bo to tylko od niego zależy.

Marjan zbladł na tę propozycję jak ściana.

Resztką przytomności zdołał ją jednakże odeprzeć.

— Panie pułkowniku, — wyjąkał, — uczyniłbym to... ale zbyt śpiesznie niepodobna... pośpiech wszystko tutaj popsuje.

— Popsuje, ach! dla czego?

Trzeba było dobrego kwadransa na wytłumaczenie zakutemu Moskalowi, że takie obcesowe wzięcie się

do rzeczy byłoby postawieniem wszystkiego na kartę i potem nie byłoby o czem grać dalej.

Chwostow zrozumiał to nareszcie i oddał słuszność Marjanowi.

— Nu, tak jak widzę, — rzekł do niego, — że pan lepiej chce dla mnie niż ja sam... ja już z rodu taki gorączka jak o ładną kobietę idzie... Róbże pan wszystko jak sam chcesz, ale rób prędko, bo jak pan będzie zwłóczył, to ja będę myślał, że mnie pan durzy, a jak ja sobie raz powiem, że mnie pan myśli omamić i zdurzyć, to już po wszystkiem... pan pójdziesz pierwszy w duraki... daję panu na to moje pułkownikowskie słowo, jak pana szanuję, panie Marjanie Pakiewicz.

Z temi słowy, wypowiedzianemi tonem do przesady posuniętej uprzejmości i grzeczności Chwostow odprowadził Marjana do drzwi.

Bohater nasz wybiegł na świeże powietrze jak z jakiej płomiennej kąpieli. Czuł przedsmaki piekła za życia.

Przez takie tortury trzeba było przechodzić zrazu co trzy dni, potem co dwa, potem codzień.

Chwostow codzień był natarczywszy i codzień umiał terroryzmem swej powagi i przemocy zmusić Marjana do wyznania, że sprawa wspólna postąpiła dalej.

Nieszczęśliwy listonosz widział, że się katastrofa przybliża, że dłuższej zwłoki od Chwostowa wymodlić nie będzie można, szukał z rozpacznym pośpiechem za-

bezpieczenia losu swego i matki na przypadek wypędzenia ze służby, — ale los kozłem mu się stawiał i wszystkie usiłowania się nie wiodły.

— Zginąłem, — mówił sobie często bohater naszego opowiadania i konwulsyjnie załamywał ręce.

XII.

Wierny swojej taktyce Marjan ile się dało odwlekał tę stanowczą chwilę.

Ile razy jednakże przyszedł do Chwostowa i ile razy wyznał, że na drodze do wskazanego sobie celu o krok jakiś dalej postąpił, Moskal zawsze mu sprawiał jakąś niespodziankę, która dowodziła, że jego zapewnienia brał na serjo.

Jednego dnia naprzykład spytał go Iwan Iwanowicz.

— A co, panie Pakiewicz, czy będę długo czekał na zapowiedzie pana z panną Anną.

— Nie tak długo, jak pan pułkownik myśli, — odpowiedział dwuznacznie Marjan.

— Nu nie tak długo, jak ja myślę,—rzekł na to z grymasem Moskal, — tak może być dłużej jak myślę, albo i krócej jak myślę... powiedz że mi pan szczerze, jak to będzie?...

— Krócej jak pan pułkownik myśli, — skłamał zmuszony listonosz.

— A no, tak dobrze... ja, widzisz pan, myślę o panu... czy pan myślał, gdzie pan będzie mieszkał ze swoją żoną?...

— Przyznam się, panie pułkowniku, że nie myślałem, — odrzekł Marjan, z przestrachem, bo się spodziewał, że tym sposobem na nowy gniew zwierzchnika się narazi, ale z radością zarazem, bo liczył na to, że pod pozorem szukania mieszkania nową sobie zwłokę uzyska.

Pułkownik nie rozgniewał się wcale.

— Nu, tak ja myślał za pana, — rzekł spokojnie.

Wypadało podziękować. Marjan zapomniał języka.

- Nu i pan mnie nie podziękujesz za to? — upomniał się Chwostow.

— W istocie... taka troskliwość ze strony pana pułkownika.... — wyjąknął dławiąc się nieszczęśliwy.

— I pan nawet nie chcesz zobaczyć tego mieszkania?...

— Rzeczywiście... radbym zobaczyć, — odrzekł nasz bohater na komendę.

— Tak pójdziem-że.

Wstali. Pułkownik szedł do dalszych pokoi, Marjan zatrzymał się.

— Tak i czegoż pan stoisz?... chodź-że pan?..

— Sądziłem, że pan pułkownik idzie po czapkę i że wyjdziemy na ulicę...

— Czort-że mnie czapka i ulica... chodź pan.

Torturowany listonosz poszedł za pułkownikiem ze spuszczoną głową.

Przeszli pokój jeden i drugi, niedługo znaleźli się w sypialni Iwana Iwanowicza.

Tu pułkownik uchylił kotary, po za którą ukazały się drzwi. Wyjął klucz z kieszeni, otworzył je i rzekł:

— Proszę pana... ot tu będzie pańskie mieszkanie... nie wielkie to, dwa pokoje i kuchenka. no dla dwojga gołąbków dość.

Wymawiając wyrazy „dwojga gołąbków" pułkownik uśmiechnał się złośliwie.

— Tak dość, — powtórzył, — tem bardziej, że samczyk nie będzie długo w domu siadywał...

Marjan był blady, choć wściekłością płonął tłumioną.

— Panie pułkowniku... — zaczął.

— Ot i ja. — prawił dalej, nie pozwalając sobie przerwać Chwostow,— ot i ja nie będę miał tak daleko do państwa Pakiewiczów... tylko przez te drzwi i już będę z wizytą...

— Nie doczekasz! — szepnął Marjan w duchu, zgrzytnąwszy.

— No cóż, — spytał pułkownik, — jak pan znajduje to mieszkanie... czy nie za małe?...

— Pan pułkownik zapomniał. że ja mam matkę... — rzekł z cicha.

— Matkę!... starą babę!... — krzyknął unosząc się Chwostow, — czort mnie po starej babie... *ubirajsa s niej* (wynoś się z nią), mój Pakiewicz.

Ten sposób mówienia był już nad siły Marjana.

Zatrząsł się i poskoczył do pułkownika. — Chwostow odsunał się ku drzwiom.

— Pułkowniku!... — zawołał poniewierany, — masz mnie i rób ze mną co chcesz, ale się nie waż bezcześcić mojej matki, bo zginiesz jak pies z mojej ręki...

Iwan Iwanowicz pobladł. Byli sami. nie było pod ręką dzwonka na służbę.

— Nu, pan Pakiewicz... to była *szutka* (żart)...

— Ja żartów takich nie znoszę...

— Tak ja i nie będę żartował... nu, ale i matka pana tutaj mieszkać nie będzie...

Mówiąc te słowa Chwostow cofał się ku swojemu mieszkaniu... Marjan uczuł się bezsilnym... opadły mu ręce.

Powrócili do pierwszego pokoju. Pułkownik z zimną krwią zbliżył się do biurka, wyjął z niego rewolwer i rzekł:

— Patrz pan, panie Pakiewicz, to ładna broń?..

— Rzeczywiście, panie pułkowniku.

— I ponabijana kulami stożkowemi, a strzałów ma sześć.

Marjan milczał.

— Nu tak, panie Pakiewicz, kiedy panu się taka broń podoba, tak ja ją zawsze mieć będę przy sobie, jak będziem obaj z panem albo jak do pana przyjdę z wizytą. Może pan iść.

Marjan się ukłonił i zbliżył ku drzwiom, wychodząc jak z płomiennej kąpieli.

Już był we drzwiach, kiedy Chwostow zawołał na niego:

— Pan Pakiewicz!...

Marjan stanął.

— Pamiętaj pan, że czort mnie stara baba... matka twoja zostanie tam, gdzie mieszka... Dobranoc, panie Pakiewicz.

Bohater nasz wybiegł, nie słuchając tej ostatniej piekielnej obelgi.

Innym razem, gdy przyszedł, Chwostow go zagadnął:

— Cóż, panie Pakiewicz, a zapowiedzi?...

— W tych dniach, panie pułkowniku.

— Wybornie... i pan nie chcesz wyższej posady?..

— Nie chcę, panie pułkowniku.

— Tak cóż ja winien, że ją panu dali po starszeństwie... pan już tak dawno listy nosi... za dwa tygodnie będzie pan konduktorem... będzie pan woził poczty z pieniędzmi i posyłkami do Kielc... co tydzień trzy dni w drodze... nu żonka nudzić się nie będzie... to moja rzecz...

Łzy popłynęły z oczu Marjana.

— Ot, ja i zaraz zgadł... — rzekł uosobiony tygrys, — że pan będzie płakał z radości.

XIII.

Mimo tych tortur, jakie cierpieć musiał od Chwostowa, Marjan sercem w wolnych chwilach przebywał tę samą sielankę, jaką każde serce poczciwe raz przebyć musi w młodości.

Miłość wzajemna jego i Anny przechodziła kolejno wszystkie stadja młodej i czystej miłości.

Błogosławiła jej babka Anny, błogosławił stary pułkownik Matusiński.

Nie wiedzieli kiedy i jak do tego przyszło, że sobie powiedzieli po cichu, wykradli raczej wzajem niż wymówili owo tajemnicze słowo, co dwa serca i dwa losy wiąże na wieki.

Jakoś się zdarzyło, że i babka słyszała to wyznanie — i ze łzami radości udzieliła przyzwolenie.

Wszystko szło prędzej, niż powinien był chcieć Marjan, ot prawie tak prędko, jak sobie życzył najgoręcej Iwan Iwanowicz Chwostow.

W sferach poczciwej biedy przygotowania do małżeństwa nie trwają długo, a ludzie starzy są zawsze za przyspieszeniem szczęścia, którego, gdyby odłożonem zostało, mogliby już nie oglądać.

Stary Matusiński i babka Anny jednogłośnie przemawiali za przyspieszeniem ślubu.

Marjan czuł, że odwlekać należy, wynajdował niby pozory przemawiające za odłożeniem, ale ulegał prędko i ustępował, bojąc się narazić dwojgu sędziwych ludzi, a jeszcze bardziej obawiając się dać do domyślenia się Annie, że połączenie się z nią nie jest dla niego największem pragnieniem.

Wiedział, że przyzwalając na przyspieszenie związku, przyspiesza dla siebie rozwiązanie okropnego dramatu, którego zakończenia odgadnąć nie umiał, a nawet odgadywać nie śmiał.

Staczał się do przepaści, a gdy pochyłość stała się tak wielką, że już nie było najmniejszej nadziei, żeby go jaki przypadek mógł nad krawędzią zatrzymać, zamknął oczy, i zdał się na bieg wypadków na ślepo.

Chwila stanowcza zbliżała się z przerażającą szybkością.

W dniu, w którym mówił Chwostowowi, że zapowiedzi są blizkie, były one już opłacone w parafjach przyszłego pana młodego i panny młodej.

Ślub był wyznaczony za dwa tygodnie.

Marjan załamywał ręce i powtarzał:

— Co się stanie?... o! ja nieszczęśliwy!... co się stanie?...

Nic jednak nie umiał, czy też nie mógł uczynić, ażeby oddalić nieszczęście.

W niedzielę „spadł z ambony“, jak to mówią, w poniedziałek poszedł z raportem do Chwostowa.

— Już po pierwszej zapowiedzi, — rzekł wchodząc.

— Ja wiem, ja wiem... — zacierając ręce odpowiedział pułkownik, — jakżeby ja nie wiedział... ja sam był w kościele i słuchał... ślub więc będzie niedługo?...

— Za dwa tygodnie...

— Co to za dwa tygodnie... czort by mnie kazał czekać jeszcze dwa tygodnie!... — zawołał pułkownik.

— Panie pułkowniku, inaczej niepodobna.

— Czort niepodobna... ja pomyślał o tem, żeby było podobna... ot ja się panu i o indult postarał... patrz pan... snm biskup podpisany...

Marjan się zachwiał. Chwostow wpakował mu w rękę papier.

— Idź pan do panny Anny i powiedz, że ślub musi być za trzy dni...

— Nie wszystko jeszcze gotowe, panie pułkowniku.

— Czort niegotowe! ja tak chcę... *byt' po siemu* (tak być ma)... za trzy dni zostajesz pan konduktorem... trzeba się żenić teraz... potem czasu nie będzie... nazajutrz po ślubie wprowadzisz pan żonę do tego mieszkania ot tu... już ja je panu umeblował prześlicznie... a sam ruszysz w drogę do Kielc.

Marjan wiedział, że opór na nic by się nie zdał, poszedł więc do domu w milczeniu.

Trzy dni tylko, trzy dni, które radby w wieczność przedłużyć, oddzielały go od najszczęśliwszej i najstraszniejszej zarazem w życiu chwili, nie było bowiem najmniejszej wątpliwości, że Anna, jej babka i pułkownik Matusiński zgodzą się na przyspieszenie ślubu, do którego oddawna wszystko było przygotowane.

Teraz lub nigdy trzeba było wszystko obmyślić.

Najrozmaitsze plany snuły się po głowie Marjana, wszystkie się rozbijały o brak środków.

XIV.

Pułkownik słusznie powiedział, że złapał swą ofiarę na wędkę.

Marjan ujęty na piędziesięciorublówkę, skutkiem tak fatalnego zbiegu okoliczności, zupełnie jak ryba co nie widząc haczyka połknęła ujrzanego robaka (*notabene* każda ryba to czyni bez najmniejszego wyrzutu sumienia) szamotał się i wysilał by się od nieszczęsnego wpływu wędki uwolnić, wszystko to jednak było daremnem — wędka ciągnęła go dalej, i wkrótce miał się dostać do żywiołu w którym żyć bynajmniej nie pragnął, jak ryba na świeże powietrze.

Środka nie było, trzeba było albo zginąć, a razem z sobą zgubić ukochaną dziewczynę, albo też splamić ową czystą szatę sumienia, którą już przypadek i twarda wola losu skalały...

Piszący te słowa nie jest materjalistą, wierzy w nieśmiertelność i w wolną wolę człowieka, pomimo uśmiechu jaki takie wyznanie na czyjebądź usta sprowadzić może, ale studjując życie w najrozmaitszych jego objawach, zna także ogromną potęgę okoliczności, potęgę sił moralnych które władają i kierują człowiekiem I jak nikt więźniowi zakutemu w kajdany, zamkniętemu grubemi murami kaźni, otoczonemu strażą

zmieniającą się by nie usnąć i nie zaniechać czujności nie zaprzeczy wolnej woli wydobycia się z za krat i rozkucia z więzów, tak naszemu bohaterowi, spętanemu zupełnie podobnemi tylko że nie fizycznemi więzami nikt nie odmówi chęci ich stargania dla tego tylko że siły jego mogą okazać się za słabe.

Siła ducha ma także swoje mury, po za które przedrzeć się nie może, chociaż chce.

Marjan był w takiem położeniu, nie uderzajmy więc na niego kamieniem za to co zrobił.

W przeddzień swojego ślubu przyszedł do Chwostowa.

— Panie pułkowniku,— rzekł wchodząc, — przyszedłem z prośbą...

Chwostow uśmiechnął się złośliwie.

— Nu, tak ja to i wiedział, co pan przyjdzie z prośbą...—przerwał nie dając mu dokończyć słów, które mu się z trudnością wydobywały z piersi, — jak pan chcesz to ja nawet zgadnę z jaką prośbą pan przyszedł.

Patrzył mu bystro w oczy. Marjan milczał zawstydzony.

— A co?... pan nic nie mówi?... — zapytał Moskal.

— Jeżeli pan pułkownik chce zgadnąć... wolę...

Chwostow zaczął się śmiać.

— Nu! pan woli!... ha! ha! ha!... pan woli!... tak ja i rozumiem co pan woli... i jaby wolał na miejscu pana...

Dziwnie widać komiczną była dla pułkownika ta scena, bo śmiał się najmniej przez pięć minut, a Mar-

jan stał jak na żarzących węglach nie śmiejąc oczu podnieść na niego.

Po przeminięciu paroksyzmu serdecznego śmiechu, Chwostow pomróknąwszy parę razy półgłosem:

— Nie ma czemu się dziwić, że pan tak woli... jutro ślub... lepsza zapłata z góry... ja to rozumiem, — zbliżył się do biurka i zaczął szeleścić banknotami.

Są ludzie, którzy przenieść nie mogą skrobania paznogciem po szkle, przejmuje to ich jakiemś nieznośnem drżeniem nerwowem, nad które trudno znaleźć przykrzejsze wrażenia. Tak samo szelest owych banknotów oddziaływał na Marjana.

Mimo to stał nieporuszony przy progu.

Chwostow wybrał kilka banknotów, zwinął je w niewielki pakiecik, ukrył w potężnej, charakterystycznie moskiewskiej dłoni, i przystąpił do Marjana.

— Nu, pan Pakiewicz, *da swidanja* (do widzenia.)

To mówiąc wsunął mu zwitek w rękę.

Marjanowi krew uderzyła do głowy, pieniądze które dostawał zdawało mu się, że go palą w dłoń.

Mimo to zabrał je, szybkim ruchem, nie licząc, ukrył w kieszeni, ukłonił się Chwostowowi i chciał wychodzić.

— Ah! *podożditie-że* (poczekaj-no pan) — zawołał Iwan Iwanowicz.

Listonosz stanął, zelektryzowany rozkazem.

— Tak mnie pan prosisz na wesele...

— Panie pułkowniku... niepodobieństwo...

— Nu... nu... nu... pan Pakiewicz... ja-że wyrozumiały człowiek, — roześmiał się Chwostow, — a

toby mnie matka pana i *tiotuszki* i siostrzyczki zjadły oczami, żebym się pokazał... także ja moskal...

— Panie pułkowniku...

— Ja też i nie chcę przychodzić na wesele... ale po weselu... pan wiesz... panna młoda przyjedzie do pana... ja do pana przyjdę z wizytą i pan mnie jej przedstawisz jak... nu jak pan chcesz... jak swojego chrzestnego ojca... a potem jedziesz pan w drogę. Zgoda.

Marjan z wysileniem zrobił głową znak przyzwolenia.

Chwostów nie męczył go już dłużej i pozwolił wyjść, a gdy się drzwi za nim zamknęły, długi czas pozostał na środku pokoju zamyślony.

Po niejakim czasie palnął się dłonią w czoło, aż się po pokoju rozległo:

— A ot ja głupi! — rzekł do siebie.

Konwulsyjnie szarpnął za dzwonek, dieńszczyk ukazał się w mgnieniu oka.

— Słuszaj Iwan, — wrzasnął potężnym głosem, — czy ty wiesz, co to pięćset pałek?...

— Znaju wasze prewoschoditielstwo...

— Nu tak... wiesz... pięćset pałek, jeśli Marjan Pakiewicz wyjedzie dziś lub jutro z Warszawy... *Panimajesz?...*

— *Panimaju,* wasze prewoschoditielstwo.

— Ma nic nie wiedzieć, że go pilnujesz... jakby chciał uciekać niech mu na rogatkach pewiedzą, że nie wolno i basta.

Dieńszczyk wyszedł.

XV.

W dniu ślubu zamiast rozkoszy przerażenie zawitało do domu starej babki Anny.

Z samego rana przyszedł Marjan blady, pomięszany, drżący.

Krótka rozmowa, kilka tylko wyjaśnień miało miejsce.

Anna płakała, płakała babka, w oczach starego Matusińskiego kręciły się łzy, które przez wstyd żołnierski uporczywie połykał.

Nie było to nieszczęście bez pociechy jednakże.

Narzeczona i jej bliscy dowiadywali się, że pan młody jest skompromitowany, że może być aresztowanym lada chwila, że natychmiast po ślubie potrzeba uciekać z kraju.

— Uciekać... ale środki? — zapytali wszyscy jednogłośnie.

Wszystko już było obmyślane. Przy pomocy pieniędzy, które mu dał pułkownik, Marjan zaopatrzył się we wszystko co było potrzebnem do wyjazdu.

Umówiono się, że wyjeżdżać będą oddzielnie, aby nie wzbudzić podejrzenia.

Marjan ostatni miał opuścić Warszawę.

Pośpiesznie i jakby ukradkiem dopełniono ceremonji zaślubin, którą przyśpieszono o godzin parę.

Potem pułkownik Matusiński z matką i babką wsiadł do powozu i pojechali ku rogatkom.

Pakiewicz miał wyjeżdżać inszemi rogatkami i zjechać się z swą żoną dopiero w umówionym punkcie drogi, a gdyby zaszła jaka przeszkoda, nie prędzej jak zagranicą.

Instynktem jakimś wiedziony starał się robić to tak ukradkiem jak tylko było można. Mimo to nie spostrzegł, że jak cień albo duch o kilka lub kilkanaście kroków za nim snuła się jakaś nieodstępna postać.

Byłby na to zwrócił uwagę, ale dieńszczyk pułkownika był zanadto *prawornym* w swojem rzemiośle, żeby miał sam na siebie wziąć wypełnienie danego sobie polecenia.

Postanowił się potroić albo poczworzyć byle się tylko nie narazić na gniew *barynia.*

Zwołał więc całą sforę wyćwiczonych w tej samej sztuce *niżnich czynów* i podzielił z niemi pracę, Moskale bowiem w najniższych nawet sferach mają wrodzone, instynktem odgadnięte pojęcie najważniejszej ekonomicznej zasady — podziału pracy.

To też duch czy cień wlokący się za Marjanem co chwil kilka odmieniał postać, i takim sposobem nie mogło mu przyjść do głowy, że jest ściganym i śledzonym.

Natychmiast po wyjeździe świeżo zaślubionej swej żony, zajął się swoim wyjazdem.

Przygotowań niewiele było trzeba, wkrótce znalazł się na rogatkach.

Tutaj czekała go okropna niespodzianka, przewidziana instrukcją pułkownika.

Nie pytając się go nawet o nazwisko ani o legitymacje, powiedziano mu poprostu i stanowczo, że pod żadnym pozorem wyjechać nie może.

Przerażony kazał nawracać dorożce, która go wiozła. Wjechawszy nieco w miasto, przesiadł się do innej i pojechał do drugiej rogatki.

Tutaj go spotkało toż samo.

Czarna rospacz go ogarnęła, — po raz trzeci już szczęścia próbować nie myślał.

Przyszło mu na myśl przedrzeć się przez okopy, jak to powstańcy w r. 1863 robili.

Myśl była wykonalna, ale jak na dzisiejsze czasy w Warszawie tak śmiała, że gdy mu przyszła do głowy, obejrzał się do koła, jakby chcąc się przekonać, czy jej kto nie podsłuchał przypadkiem.

Obejrzał się i zobaczył za sobą postać, która, jak sobie w tej chwili przypomniał, mignęła mu przed oczyma przy wyjściu po ślubie z kościoła.

Był to dieńszczyk pułkownika, tym razem w swej własnej postaci.

Zasłona spadła Marjanowi z oczu, zrozumiał, że był ściganym.

Potrzeba było znowu heroicznej, prędkiej decyzji.

Przypomniał sobie, że ów dieńszczyk okazał kiedyś pewne współczucie dla jego położenia. Tej iskierki współczucia uchwyciła się jego myśl jak kotwicy ocalenia.

Zwrócił się ku niemu. Dieńszczyk wykręcił się niozgrabnie, udając, że nie szedł za nim.

Podstęp ten nie zwiódł Marjana. Przystąpił do Moskala, uderzył go poufale po ramieniu, i rzekł:

— A co, jak się masz bracie?

— Dziękujem... panie... — odrzekł jąkając się Moskal.

— Cóż porabiasz w tych stronach?

Moskal zająkał się jeszcze bardziej. W instrukcji pułkownika nie stało bynajmniej, jak odpowiedzieć, gdy go śledzony zagadnie. Czuł przytem, że go mogą spotkać bardzo niemiłe następstwa za to, że się dał spostrzedz Marjanowi, drżał więc miotany niepewnością i trwogą.

— Ot, panie... — odpowiedział — za *kabaczkiem* (szynkiem) oglądam się... czy gdzie tu nie ma.

— A kłamiesz — spokojnie odrzekł Marjan.

Moskal wyprostował się i pobladł.

— *Nie smieju łgat', wasze błagorodje*, — wyjąkał.

Marjan nie wiedział z razu, jaki skutek wywrze na Moskalu stanowcze i śmiałe postępowanie, widząc jednak, że go przestraszało, postanowił trzymać się tej taktyki. Moskal widząc, że Marjan bynajmniej go się nie lęka, ale sam go zaczepia, bada, i wyraźnie odgaduje, bo kłamstwo mu zarzuca, był pewnym, że to wszystko jest najprzeciwniejszem woli jego pana, i że go za niezręczność czeka najstraszliwsza kara.

— Kłamiesz, — powtórzył Marjan, — kłamiesz, bo ci pułkownik kazał iść za mną, kłamiesz, bo ci nie kazał wydawać się przedemną, żeś mnie śledził, a ja cię złapałem na uczynku.

Moskal przybity strachem rzucił mu się do kolan:

— Miłości waszej proszę, — zawołał, — nie gubcie duszy mojej i nie mówcie *jewo prewoschoditielstwu*, żeście spostrzegli, żem ja szedł za wami.

Marjanowi żal się zrobiło niewolnika, postanbwił skorzystać z jego strachu lecz nieinaczej jak ocalając go od kary, jaka go oczekiwać mogła, gdyby go wywiódł w pole i uszedł jego czujności.

— Słuchaj, — rzekł, — pułkownik musi wiedzieć o wszystkiem, a jak się dowie, to cię ubije...

— Oh! ja znaju!...

— Ażeby cię ocalić jest tylko jeden sposób...

— *Skażytie, angieł moj, skażytie...*

— Uciekaj ze mną...

Moskal spojrzał mu bystro w oczy i patrzył przez chwilę w milczeniu.

— No cóż?... namyśliłeś się.

— *Dognajut* baryń, — szepnął Moskal, — ja trzy razy z wojska uchodził — zawsze dognali i obili...

— Głupstwo, — rzekł Marjan, — uchodziłeś tam gdzie car panuje, ze mną pojedziesz do takich krajów, gdzie nikt nie słucha cara...

— Miłyż ty Boże! — zawołał dieńszczyk, — wy nie kłamiecie, że są gdzie ziemie w których car nie panuje?...

— Są...

Myśl była nowa i na prostą wyobraźnię moskiewskiego chłopa oddziałała bardzo żywo.

Krótką chwilę trwała jeszcze rozmowa z Marjanem, a w kwandrans potem te same rogatki, które przed godziną zamykały się na ich widok otworzyły się dla nich dwóch.

XVI.

Pułkownik Chwostow nie spał wcale tej nocy.

Było umówionem, ze Marjan dopiero po weselu przywiezie żonę do domu, i że wesele będzie krótkiem.

Wesele jednak przedłużało się widocznie, a Chwostow się niecierpliwił.

Co chwila zagadywał służbę czy dieńszczyk Iwan nie dał o sobie jakiej wiadomości, ale Iwan przepadł jak kamień w wodzie.

Od czasu do czasu zaglądał do mieszkania nowożeńców. Wszystko w niem było przygotowane tylko pary młodej nie było.

Klął się, wściekał i miotał.

— Dam-że ja jemu, Pakiewiczu, — mówił tupiąc nogami w dywan, — a Iwana na smiert' zakałaczu!...

Gniew bezsilny nic nie pomagał, spędzał mu tylko sen z powiek.

Z rana, gdy znużony czuwaniem Chwostow cisnął się na kanapę w ubraniu, ażeby spocząć trochę i gdy ledwie oczy przymykał, wszedł ktoś bez zawołania do jego pokoju.

Iwan Iwanowicz zerwał się na równe nogi.

— A co, czy przyjechali? — zapytał.

— *Wasza prewoschoditielstwo*, — odpowiedział sługa, — *Iwan uszoł...*

— *Szto?...* — zawołał przerażony pułkownik, — a Pakiewicz?...

— *Ujechał!...*

Tego było za wiele na pułkownika. Cokolwiek mniejszy gniew byłby mu pięści popchnął do policzków sługi, tym razem cios był zbyt silny i wyraził się osłupieniem.

Osłupienie trwało przez długą chwilę, nareszcie, powoli, pomaleńku potomek pra-pra-pra... Chwosta zaczął przychodzić do siebie.

— *Paszoł*, — rzekł do służącego, który czekał tylko tego rozkazu i znikł w mgnieniu oka z pokoju.

Następnie Iwan Iwanowicz poszedł do szafki, otworzył ją, dobył flaszkę alembikówki, wychylił kilka sporych kieliszków jeden po drugim, nie zakształusiwszy się nawet.

Potem wpadł niby Jowisz gromonośny do mieszkania sąsiedniego które sam tak starannie i elegancko umeblował dla nowożeńców.

Wpadłszy porwał z okna doniczkę kwiatów i grzmotnął nią w lustro zawieszone nad toaletą, zdarł z łóżka kołdrę poszarpał i podeptał nogami, paznogciami zdzierał ze ścian obicia, aż sobie palce pokaleczył, plwał na woskowaną posadzkę i wszystko szkło jakie mu wpadło w rękę porozbijał o podłogę.

Uczyniwszy tak zadość swojej zemście ubrał się i poszedł na pocztę.

Wbrew swewu zwyczajowi przedewszystkiem pobiegł do kassy.

— Czy dużo jest pieniędzy? — spytał kasjera.

— Niewiele... — odrzedł zapytany, — będzie przeszło dziesięc tysięcy rubli... reszta onegdaj odesłano do Petersburga.

— Mało, — mruknął Chwostow pod nosem, — ale... dobra psu mucha...

Usiadł i napisał rozkaz wydania sobie dziesięciu tysięcy rubli na wydatki z których się następnie usprawiedliwi.

Rozkaz ten zaopatrzył datą dnia poprzedniego, oddał go kasjerowi i kazał sobie wyliczyć pieniądze.

Po dopełnieniu tego usiadł i napisał raport do dyrekcji poczt.

W raporcie tym była taka relacja.

„W dniu wczorajszym podniosłem z kasy pocztowej r. sr. 10,000 na wydatki do późniejszego usprawiedliwienia. Pieniądze te w interesie służby oddałem natychmiast Marjanowi Pakiewiczowi, konduktorowi pocztowemu, który zabrawszy je znikł i zapewne zbiegł zagranicę.“

Na tem skończyła się tego dnia cała czynność biurowa pułkownika.

Wieczorem tegoż dnia Iwan Iwanowicz już był wesół i lekki jakby nic nigdy nie zaszło.

Pił szampańskie, pogwizdywał i mówił sobie w duchu:

— *Sławnyj fy małyj*, mój Chwostow... Pakiewicz się urwał z wędki... nu! *głuposť* złapały się za to *dieńgi.*

Moskiewskie wędki mają zawsze po dwa haczyki: na jeden łapią się ludzie na drugi ruble, złapać się musi zawsze jedno albo drugie, najczęściej łapie się oboje.

KONIEC.

Wydawnictwa „Mrówki“ we Lwowie.

MRÓWKA illustrowane czasopismo literacko-powieściowe, ze współpracownictwem wszystkich naszych znakomitości literackich zawiera: powieści, poezje, szkice, obrazki, podróże, wspomnienia, pamiętniki, humoreski, oraz dział literacki, naukowy i artystyczny. Z dodaniem **premji**, dużego litografowanego obrazu kopji z obrazu olejnego **Jana Matejki: Kazanie Skargi**. Prenumerata roczna 6 złr. 50 c. półroczna 3 złr. 30 c. ćwierćroczna 1 złr. 65 c.

BIBLIOTEKA MRÓWKI. Wychodzi serjami. ½ Serji pierwszej obejmuje: **T. T. Jeża**, Asan. powieść historyczna **Z. Krasińskiego**: Przedświt, poemat; **J. I. Kraszewskiego**: Ostap Bondarczuk. powieść; **Adama Pługa**: Sroczka, poemat; **Wołodego Skiby**: Kanarki. powieść humorystyczna; **J. Słowackiego**: Kordjan, dramat; **Wł. Syrokomli**: Janko Cmentarnik, gawęda ludowa. **J. P. Woronicza**: Sybilla. poemat. — Pod prasą lub przygotowane do druku pół serji drugiej: J. I. Kraszewskiego, Jaryna. powieść; Seweryna Goszczyńskiego, Król Zamczyska, powieść; Wł. Syrokomli. Ułas; J. Słowackiego. Mindowe; itd. itd.

Serja 4 złr. pół serji 2 złr.

OWCE I ŚWINIE, bajka 5 centów.

ODCZYTY KAROLA LIBELTA WE LWOWIE, odbitek osobny z „Mrówki“ z potretem prelegenta . 50 cent.

ŻYWOT KAZIMIERZA PUŁAWSKIEGO przez Leonarda Chodźkę. z portretami autora, Kazimierza Pułaskiego i Tadeusza Kościuszki . . . . 2 złr. 50 ct.

W administracji „Mrówki“ nabyć można: Bibliotekę ludową polską tomik po . . . 16 cent.

Niewęgłowskiego. Arytmetykę . 2 złr. — ct.

Geometrję — tomów 2 . 4 złr. — ct.

Lamenego Księgi ludu . . . — „ 50 ct.

Z. Gawarecki Włościanin Polski.